

# TYDZIEŃ POLSKI

TREŚĆ: *I. Moszczeńska*: Europa między Wschodem i Zachodem. — *Dr. Parago*: Rewolucja czy reakcja? — *Jan Turnowski*: Prądy polityki angielskiej. — *Tadeusz Michalski*: Brak organizacji wśród kresowców. — *Ernest Łunicki*: Festina lente. — Jubileusz „Kurjera Polskiego”. — *Eugenjusz Świerczewski*: Walka o kulturę w teatrze. — *Ada Negri*: Wolontariuszka, tłum. *R. Centnerszwerowa*. — Muzeum narodowe m. Warszawy. — *Ewa Serednicka-Oleszkowska*: Przegląd muzyczny. — Literatura i sztuka u obcych. — Książki nadesłane do redakcji.

## EUROPA MIĘDZY WSCHODEM I ZACHODEM.

Nie pamiętam, który z zachodnich polityków wyraził w ostatnich latach pogląd: dotychczas w polityce myśleliśmy krajami; nauczymy się dziś myśleć częściami świata.

Warto mieć na pamięci tę trafną uwagę, gdy wśród zakłóceń naszej polityki zagranicznej spotykamy jakieś zagadkowe niespodzianki, przekreślające nasze krótkowzroczne obliczenia i przewidywania. Ażeby przewidywać trafnie, trzeba dokładnie rozumieć, ujmować zjawiska w całej ich pełni, nie w tym drobnym ułamku, który nas bezpośrednio dotyka. Nasza bieżąca historia jest epizodem wielkiego przełomu, który się dokonywa w dziejach świata; jej wynik będzie w znacznej mierze zależał od tego, czy będziemy jego świadomym i czynnym uczestnikiem, czy biernym i bezwiednym materiałem dziejowej ewolucji.

Niespełna 10 lat temu, gdy mówiło się: „mocarstwa europejskie”, „polityka europejska”, obejmowało się tem mianem coś niezmiernie wielkiego i potężnego, właściwie wszystko, co rozstrzygało o losach ludzkości. Obecnie, po wojnie, którą również zaczęto z wielką emfazą nazywać europejską, zanim się przekonano, że jest światową, wyraz „europejski” oznacza coś partykularnego, jakiś separatyzm, wyodrębniony z wielkiej całości zagadnień, obejmujących całą powierchnię kuli ziemskiej.

Ten mały północno-zachodni półwysep starego ładu, który przez szereg wieków czuł się powołany do urządzania po swojemu wszystkich części świata, dzielił obie półkule na sfery swoich interesów, narzucał im swoje prawdy i swoje towary, to jest cywilizując je i eksploatując, — dziś musi coraz częściej stwierdzać, że przewaga jego skończona, że trzeba poprzestać na równorzędności i to nie zawsze takiej, którą on przyznać ra-

czy, lecz czasem przyznawanej sobie łaskawie przez innych.

Ten stan rzeczy przygotowywał się zwolna. Jeżeli konferencja waszyngtońska była już wybitną jego manifestacją, to pierwszej przygrywki może szukać należy w rokowaniach w Portsmouth 1905 r., gdy Stany Zjednoczone wystąpiły w roli rozjemcy między Rosją i Japonją. Wojna znakomicie przyspieszyła bieg tego procesu.

Ludy wszelkich ras, barw i wszystkich części świata stały się naoczniymi świadkami i mimowolnymi uczestnikami krwawej kąpieli, w której Europa pogrążyła długowiekowy dorobek swej cywilizacji. Przekonały się przytem, że nie tak trudno przyswoić sobie te środki i sposoby, na których opierała się jej potęga, ale nasunęły im się wątpliwości, czy i w jakiej mierze przyswajając je warto. Europa przestała im imponować, upadek jej moralnej powagi może mieć jeszcze większe znaczenie dla dalszego rozwoju historycznego, niż upadek ekonomiczny. Odbudowa gospodarcza, to tylko jedna strona zagadnienia. Druga, która się dość ściśle wiąże z tamtą, to pytanie, na jakich podstawach budować, aby gmach nie zawałił się nanowo? Nie ulega też wątpliwości, że osłabiona przez upust krwi Europa nie może liczyć na życzliwy współudział innych części świata w przywracaniu jej sił, które mogłyby się stać groźne dla ich niezawisłości; by zgodziły się one wskrzeszać jej przewagę a własną zależność. Nie poniosą jej ponownie daniny krwi dla regulowania jej wewnętrznych porachunków i nie porzestaną na przyszłych kongresach międzynarodowych na tej roli, jaką grały w Wersalu: honorowanych gości z głosem doradczym przy zapadających decyzjach. Zresztą, z punktu widzenia światowego, te wszystkie konflikty, które roznamietniają Europę, są niestychanie drobnostkowe, a ich doniosłość niknie w obliczu wielkich zagadnień, które historia narzuca niezmierzonym obszarom lądów i mórz Wschodu i Zachodu. Tam dopiero zazębiają się i krzyżują najżywotniejsze



interesy wielkich mocarstw europejskich i pozaeuropejskich, a od rozwiązania tych zagadnień zależą losy krajów i ludów naszej, przyładowej części świata.

Najlepiej uwidoczni się ta prawda, gdy przypomnimy jedno z najaktualniejszych zagadnień: odbudowę Rosji. Dla nas jest to sprawa bezpośredniego sąsiedztwa na najdłuższej naszej granicy, sprawa naszych ziem kresowych, niemieckiego parcia na wschód po naszych karkach, naszych sojuszków i naszych rynków zbytu. Zapominamy, że nasza najdłuższa granica jest tylko najkrótszą, choć dość ważną, granicą Rosji, która była nie tylko największym państwem Europy, ale jednym z największych Azji, że i Bliski Wschód i Daleki Wschód żyły przez długi czas pod naciskiem jej zaborczej potęgi, a rozwalenie się tego kolosu otwiera przed nimi nowe perspektywy, wyzwala w nich nowe sily.

Dla zrozumienia tego, co się dziś dzieje w Azji, a o czym zagadkowe wieści przynoszą telegramy, stosujemy bardzo uproszczone metody, przymierzając nasze europejskie klucze polityczne do azjatyckich stosunków. Intrygi niemieckie, propaganda bolszewicka, żydowska chytrłość lub bezczelność mają być, wedle tej polityki, jedynym źródłem wciąż wzmagającego się wrzenia w Azji Mniejszej, Centralnej i w Indjach. Gdyby lord Reading lub lord Montagu byli trochę zręczniejszymi politykami, panowanie angielskie byłoby — wedle tej opinii politycznej — dziś równie niewzruszone i bezsporne, jak przed 10-ciu laty. Ale intryga i propaganda są zupełnie bezsilne tam, gdzie idą przeciw wielkim prądom dziejowym; czasem zbyt cenne, gdy toczą się po ich fali i, pozornie nimi kierując, z nich korzystają, by na wierzch wypłynąć.

By się przekonać, że nie Lenin czy Radek są reżyserami tych wschodnich dramatów, wystarczy posłuchać, co Wschód mówi sam w własnym imieniu, ustami człowieka, który i azjatycką mądrość i europejską kulturę czerpał z najgłębszych żywych źródeł, a nie z broszurowej i dziennikarskiej garkuchni, człowieka, którego talent i natchnienie uczciła Europa najwyższemu i najzaszczytniejszemu odznaczeniem, na jakie ją stać. Laureat akademii Nobla, Rabindranath Tagore, wygłosił trzy odczyty o „Nacjonalizmie“; jeden w Anglii, drugi w Japonii, trzeci w Ameryce. Wszystkie trzy ukazały się obecnie w wydaniu polskim, poprzedzone słowem wstępnym autora. Z książki tej niezmiernie wiele nauczyć się można.

Oczywiście nie oceny i charakterystyki nacjonalizmu. Wystarczy przeczytać kilka kartek, by się przekonać, jak niezrozumiałe są dla Azjaty nasza wyobrażenia narodowości, patriotyzmu, ojczyzny. Dla niego nacjonalizm jest wytworem „ciasnej geograficznej świadomości“; w dokonaniu środków komunikacji widzi on czynnik, odejmujący wartość „plotom geograficznemu, granicom“. Odrębne organizacje narodowe są z jego punktu widzenia przeżytkiem, który miał niegdyś znaczenie utylitarno wychowawcze, ale dziś je już utracił. Te poglądy, zamieszczone w słowie wstępnym i przeznaczone dla polskich czytelników, byłyby dla nich — zaiste — bardzo niewczesne, gdyby w nich szukali innych wskazó-

wek, niż objaśnienia, czym jest duch współczesnego Wschodu, przemawiający głosem najszlachetniejszego, najbardziej natchnionego z jego synów. Czy mówi o „nacjonalizmie na Zachodzie“, w „Japonii“, czy w „Indjach“ — zawsze tłumaczy nam tylko właściwie swój stosunek do tych zjawisk, „zajmuje względem nich stanowisko“, mówiąc językiem naszej polityki klubowej, ale przez to zarazem najdosadniej charakteryzuje ten nieznan nam świat, imieniem którego przemawia.

W obrazie nacjonalizmu zachodniego i jego stosunku do krain Wschodu, widzimy wierny portret rządów angielskich w Indjach, a choć autor zapewnia, że bynajmniej nie ma na myśli Anglii samej, choć wyraża przekonanie, że każde inne rządy europejskie byłyby tylko gorsze (nie zapominajmy, że mówił to w Anglii do Anglików), nie możemy uznać, by to, co nazywa „nacją“, mogło się stosować do każdego narodu: „Nacja, jako zrzeszenie polityczno-ekonomiczne, jest formą, którą przybiera pewne zbiorowisko ludzkie dla osiągnięcia jakiegoś mechanicznego celu“. By to zrozumieć, trzeba sobie przypomnieć, że awangardą panowania „nacji“ była w Indjach kampanja wschodnio-indyjska. A oto, co napotkała na swej drodze owa „zorganizowana siła“ o nienasyconej „żądzy bogactw i władzy“. „My żadnej nacji nie tworzymy“. „Historja nasza była historją ciągłego dostosowywania się — bardziej aniżeli mobilizacji sił dla obrony i napadu... — to historja życia społecznego i dążeń do ideałów duchowych“. „Jedyną pragnienie Indji — żyć w ciszy i głębokiej zadumie“; „jedynym skarbem — świątynie i niwy, domy i szkoły, gdzie uczniowie i nauczyciele żyli wspólnie w prostocie, poświęceniu i nauce“. Doskonałość moralna — oto ideał, któremu Wschód hołduje. „Prawdziwy świat człowieka — to świat moralny“. „Człowiek, jako taki, nie jest potężny. Jest doskonały. By go zamienić w potęgę, musicie skurczyć jego duszę“. W cywilizacji europejskiej „zanika człowiek moralny, człowiek zupełny“. Ustępuje on miejsca człowiekowi politycznemu i handlowemu, człowiekowi o celach ograniczonych“. „Cywilizacja polityczna, patriotyzm narodowy nigdy nie przetrwały długo. Światło Grecji zagasło w kraju, w którym zabłysnęło najwcześniej. Potęga Rzymu dawno już leży martwa, przysypana zwaliskami olbrzymiego imperjum. Ale kultura, której podwalinami były człowieczeństwo i duchowe ideały, żyje dotychczas w Chinach i w Indjach“.

Widzimy przeto, że ten syn Wschodu z poczuciem politowania, ze świadomością wyższości spogląda na cały nasz dorobek dziejowy, obejmując jednym wspaniałym lekceważącym rzutem oka wszystkie wielkości europejskiej historji, poczynając od starych Rzymian do współczesnych tryumfatorów. To wszystko dla niego marność i znikomość. Jeśli mu zaś powiedzą, że ten Wschód, który czci i w który wierzy, cierpi na zanik ruchu, że nie jest w stanie iść naprzód, odpowiada: „O postępie sądzić można tylko w porównaniu z jego celem. Pociąg biegnie naprzód w kierunku stacji ostatecznego przeznaczenia — oto ruch. Ale dobrze wyrosłe drzewo nie ma żadnego ruchu, przypominającego powyższy. Jego postęp, to postęp wewnętrzny jego życia. Żyje ono swe-



mi dążeniami do światła, poruszającemi nerwy jego liści, płynąciami w milczącym jego soku". I mówi jeszcze:

„Wschód ze swemi ideałami, Wschód, który w łonie swoim kryje całe odwiecza światła słonecznego i milczenia gwiazd, czekać może cierpliwie, aż Zachód, goniąc za tem, co doraźnie korzystne, straci oddech i zatrzyma się w biegu“.

Rabindranath Tagore nie przesądza zresztą, czy chwila ta bliska, daleka, czy może już nadchodzi. Ideałem jego nie jest bezwzględne zwycięstwo Wschodu nad Zachodem, lecz pojednanie, zbratanie, zrozumienie się wzajemne. Umie on odkrywać i cenić wzniosłe strony tej cywilizacji, która, wprawdzie, obcym ludom i krajom daje poznać tylko swą żądzę zysku i władzy, lecz dla siebie wypielegnowała również wielkie bogactwa duchowe.

„Z chwilą, gdy zdołamy w Indiach przyswoić sobie to wszystko, co trwałem jest w kulturze Zachodu, zdołamy również doprowadzić do pojednania dwóch światów“.

Na to jednak trzeba usunąć nacjonalizm (właściwie imperjalizm), który zatruwa jadem stosunki wzajemne. Litość w nim wzbudzają „wielkie Chiny, pełne starej mądrości i społecznej etyki, panowania nad sobą i dyscypliny w pracy“, a dziś widząc, że w sercu nacji budzą pragnienie łupu, wysilające się na to, „by otrząsnąć się ze swych pięknych humanitarnych tradycji, by wyżyć się swych ideałów społecznych, by ostatecznie swe siły zużyć na wymusztrowanie się według zasad rynkowej sprawności“.

„Japonja mogła się oprzeć panowaniu nacji Zachodu i tylko dlatego mogła sobie przyswoić korzyści kultury Zachodu“ — mówi, bynajmniej zresztą nie wysnuwając z tej uwagi wniosku, który nam się od razu narzuca. Japonja — nie tak bierna, nie tak nieruchomo w zadumie pogrążona, jak Indie i Chiny — postawiła swój patriotyzm na straży swych humanitarnych ideałów, zachowała swą niezawisłość i broni jej skutecznie. Japonja bierze tedy sama z kultury Zachodu to, co jej potrzebne, a nie pozwala sobie narzucić tego, co służy tylko cudzym interesom. Cudzym nacjonalizmom przeciwstawiła swój własny. Rabindranath Tagore widzi to, ale to go przejmuje lekkiem.

Jako Azjata, dumny jest z Japonji, która „wyszła z głębin dalekiego Wschodu, jak lotos, kwitnący lekkim wdziękiem, ale nie oderwała się od tych bezdennych głębin, z których wypłynęła“. „Dodało to otuchy pozostałym ludom Azji. Ujrzelśmy wyraźnie, że życie i siła są w nas samych“. Ostrzega jednak Japonję, by nie poniżyła się naśladowaniem Europy.

„Bardziej niż jakiegokolwiek kraj w Azji ma Japonja możność dowolnego spożytkowania materiału, otrzymanego z Zachodu, wedle geniuszu swego i potrzeb. Tem większa ciąży na was odpowiedzialność (mówi do Japończyków), że głosem waszym odpowie Azja na zagadnienia wszechludzkie, które wysunęła Europa. W waszym kraju czynione będą doświadczenia, które Wschód uzupełni cywilizację nowoczesną, wniesie życie tam, gdzie kultura zamenila się w maszynę“.

„Zadaniem naszym jest szarmonizować duszę naszej kultury i nasze dzieje z dziejami

wszystkich narodów ziemi“, a „najważniejszym zadaniem doby obecnej jest wzajemne zbliżenie wszystkich ras świata“.

W Japonji — odczyty Rabindranatha Tagore, jego zaklęcia i przestrogi, zjednały mu wiele pochwał, ale mało przekonanych adeptów. Odzywały się głosy, że „to poezja narodu zwyciężonego“.

Istotnie w tej ewangelji, którą głosi autor, słyszymy jakgdyby odległe echo naszych własnych proroków mesjanizmu z najcięższego okresu naszej niewoli. Wyzwolenie przez tryumf miłości i sprawiedliwości nad przemocą i pychą, braterstwo ogólnoludzkie, nawrócenie ciemnych i przebaczenie win, odkupienie przez ofiarę cichego męczeństwa i ostateczne wywyższenie poniżonych, a wszystko mocą Boskiej potęgi, wiodącej ludzkość do jej przeznaczeń — czyliż nie ta wiara przyświecała naszemu narodowi, gdy już wszystkie gwiazdy nadziei na jego niebie zagasiły?

„My, których głowy są zniżone aż do samego prochu ziemi — my jeszcze raz widzieć będziemy, że proch ten bardziej jest święty, aniżeli cegła, z której buduje się potęga i pycha, bo proch ten rodzi życie, piękno i wielbienie Boga. Dziękować będziemy Bogu, że pozwolił nam przetrwać w milczeniu noc rozpacz, że pozwolił nam znieść szyderstwa człowieka pysznego i jarczmo człowieka mocnego, że choć serca nasze nieraz drgały zwątpieniem i trwogą, nie wierzyliśmy nigdy w zbawienie człowieka przez maszynę, lecz zaufaliśmy Jemu i prawdzie, która jest w duszy człowieka. Radujemy się nadzieją, że kiedy przemoc ze wstydem opuści swój tron i miejsce swe ustąpi Miłości, kiedy zaświta poranek, by zmyć progi Nacji, zbroczone krwią całej ludzkości, wówczas my powołani będziemy, by przynieść naczynie nasze z wodą świętą, wodą wielbienia Boga — byśmy dzieje ludzkości uwieńczyli czystością, byśmy wodą świętą kropiąc ziemię trątaną przez wieki — błogosławili jej płodności“.

Jakże jednak wyglądają te wizje przyszłości w przekładzie na język realnych faktów? Co czynić, by sny stały się rzeczywistością? Wieszczy indyjski — mimo swej głębokiej pogardy dla polityki — jest jednak sam zbyt subtelny politykiem, by nie stosować swych argumentów do psychiki audytorjum. To też mówiąc do Amerykanów o „Nacjonalizmie w Indiach“ — używa znacznie mniej obrazowego stylu, staje się konkretnym i zwięzłym. „Albo narody pójdą drogą walk wzajemnych, albo drogą zrzeszenia i pomocy wzajemnej. Albo rywalizacja bez końca, albo współpraca“. Oto jakie zagadnienie stawia swym słuchaczom Yankesom. „Od Ameryki przede wszystkim zależeć będzie urzeczywistnienie wielkich nadziei boskich i ludzkich“ — mówi i przypomina, że „Ameryka, jak dotąd, nie jest skrepowana przez tradycje przeszłości“.

Czego od niej żąda i czego się spodziewa? Oczywiście powszechnego rozbrojenia, zniesienia „plotów geograficznych“, czyli zniesienia wszelkich nacjonalizmów, będących „ciasną świadomością geograficzną“, połączenia ludów i ras w jedną rodzinę, związaną wspólną uniwersalną religią, nie obalającą żadnego z istniejących kościołów,



lecz obejmującą wszystkie we wzajemnem wyrozumieniu i zgodzie.

W tej postaci ideały Wschodu łatwo przyjąć się mogą na amerykańskim terenie, stanowiącym pozatem jaknajjaskrawszy kontrast ze Starym Światem. Ani militarystyka ani nacjonalizm nie leżą w tradycjach i obyczajach tego kraju, zaludnionego przez pstrą mieszaninę wychodźców ze wszystkich europejskich narodów, ofiary przesładowań politycznych i religijnych — więc z natury rzeczy mające w nienawiści i pogardzie wszelki przymus państwowy czy kościelny. Ameryka jest zawsze gotowa zapalać się do hasel etycznych, więc nie może być nieczułą na głos mędrca ze Wschodu, gdy ten jej mówi: „Ameryka wybrana jest, by usprawiedliwić cywilizację Zachodu w oczach Wschodu”. Idea uniwersalnej religii ma tam przecież bardzo wielu szczerych adeptów, o czym świadczy choćby kongres wszechreligij, zwołany do Chicago w latach poprzedzających wojnę. Misjonarskie powołania w tym kraju bujnej pomysłowości religijnej są znacznie częstsze, niż gdziekolwiek, a pęd do ekspansji ekonomicznej i politycznej, choć świeżej daty, jednak silnie podniecony przez udział w wojnie, może tylko zyskać na tem, gdy żeglować będzie pod flagą wzniosłych humanitarnych ideałów. Naprzykład obrona niezawisłości Chin lub wyzwolenie Indji doskonale dadzą się pogodzić z hasłami „wolności mórz” lub „otwartych drzwi”, któremi „business” amerykański toruje sobie drogę do rynków zbytu, monopolizowanych przez rywalizujące potęgi.

Nie to było zaiste myśłą przewodnią Rabindranatha Tagore, gdy ewangelję, głoszoną w swej akademji w Kalkucie, wioził na drugą stronę Pacyfiku, ale to może rozstrzygnąć o rozkrzewieniu się tej ewangelji i tak konkretnie skryształizować się może jego słowo, gdy ciałem się stanie.

I w Kalkucie, zresztą, nie jest on bynajmniej wyrocznią powszechnie uznawaną. Kraj jego ma też innych proroków, za którymi idą tłumy, gdy on — zwykłym przeznaczeniem wieszczów — pozostaje sam z garstką wybranych. Wszakże niedarmo zatytułował swój odczyt „Nacjonalizm w Indjach”. Zwolennicy tego kierunku sądzą, że „jedynym naszym zadaniem jest wzniesienie cudownego posągu wolności politycznej na sypkich piaskach niewolnictwa społecznego”, to znaczy, ustroju kastowego, który jest dziś „bezużytecznym anachronizmem”, a decyduje o bezsilności politycznej Indji. Rabindranath Tagore — (szczerze lub nieszczerze) — głosi, że nie jest zwolennikiem „oddzielania się od zachodnich wpływów przez niepodległość polityczną”. „Gdybyśmy wypędzili Anglików, stalibyśmy się ofiarą innego państwa”, gdyż zbyt wielka różnorodność etniczna i ustrój kastowy nie dopuszczają do zbudowania państwa własnego. Wyznaje jednak, że ten pogląd jego jest indywidualny — a dodajmy, że może innego nie mógłby wygłaszać słowem i drukiem po angielsku,

Wiemy skądinąd, że Indje współczesne posiadają już proroka-wodza, którego nie krępują obawy i skrupuły, skazujące Rabindranatha Tagore na pasywnizm i ugodowość; wiemy także, że w momentach wielkich przełomów i wstrząśnień górę biorą nie najsztubtelniejsze charaktery i naj-

wznioślejsze umysły, lecz bujny temperament i bezwzględna wola.

A jednak w słowach Rabindranatha Tagore wolno nam widzieć odzwierciedlenie tych ideałów, w imię których zbudzona z wiekowej drzemki prastara Azja wyruszy do walki, równie głucha na zaklęcia i przestrogi wieszczów z Bengalu, jak jej przodowniczka w dziele wyzwolenia, Japonia. Będą to ideały religijne — jak przystało kolebce wszystkich wielkich religij świata. Hasło religij uniwersalnej zjawilo się już przecie wcześniej u mahometańskich ludów, w nauce proroka Baby, którego wyznawcy i następcy dokonać by mogli na początek wielkiego dzieła pojednania między Islamem, Budyzmem i Brahmanizmem. Gdyby tego dokazano, nadszedłby kres europejskiego imperializmu w Azji i może doczekalibyśmy się tego, że odwzajemniając się Europie za jej krucjaty i misje, Daleki Wschód przysłałby swoich apostołów dla nawracania jej na nową wiarę. A może już oni są między nami.

I. Moszczeńska.

## Rewolucja czy reakcja?

(Dokończenie).

### III.

Że prawica jest zdecydowana i do walki gotowa, wskazuje na to choćby artykuł p. W. R. w „Kurjerze Warszawskim” z dnia 18. X r. ub. „W obliczu wroga”. „Trzeba nowych praw, woła p. W. R. Trzeba zdradę nazywać zdradą, każdą organizację bolszewicką traktować jak spisek, komunizmowi odebrać puklerz legalności! Tak postąpiło już kilka innych narodów i tak, jako najwięcej zagrożeni, postąpić powinniśmy my...” „Każdy strzał rządu przeciwko komunizmowi może liczyć na poparcie nie tylko burżuazji i ziemianstwa, lecz wszystkich organizacji robotniczych poza jacejką bolszewicką. I więcej powiem: jeżeli ten strzał z wyżej rządowych nie padnie, obawiać się można, że strzelać zacznie samo społeczeństwo. Były już próby takiej samopomocy. Tam, gdzie rząd jest bezsilny, chwiejny, ślepy lub lękliwy, a naród widzi, że śmierć mu w oczy zagląda, mogą się zdarzyć odruchy nieobliczalne. Lud sam siebie zacznie ratować”. Bardzo słusznie! Bo choć takie wyręczenie rządu przez tłumy, jak konkluduje p. W. R., jest zawsze niebezpieczne i, dodajmy, nielegalne, ale... lepiej uratować się w sposób nielegalny i ryzykowny, niż zginąć w sposób... legalny. I cała masa ludności, która nie chce sowieć, komisarzy, nie chce zniesienia swobód i parlamentaryzmu, która tęskni do spokoju, poprze wszelką aktywną grupę, działającą w tym kierunku. I w Polsce jest materiał dla stronnictwa w rodzaju *fascii* (związków) włoskich. Nie ulega wątpliwości, że *fasciści* uratowali Włochy od anarchji i teroru komunizującej mniejszości. Ale jeżeli społeczeństwo pójdzie za polskimi *fascistami*, a na ich czele staną grupy prawicowe, to i z owoców zwycięstwa skorzystają te właśnie grupy. Otrzymają cenę inicjatywy i ryzyka. Prestiż ich moralny i polityczny stanie tak wysoko, wpływy ich tak urosną, że reakcja, zniesienie



wielu reform i zdobyczy demokracji staną się nieuniknione. Grupy te będą panami położenia. Dla zapobieżenia zatem rozruchom ludowym, dla uniknięcia reakcji stronnictwa robotnicze, drobna burżuazja, inteligencja pracująca powinny wziąć czynny udział w walce z komunizmem, muszą się zorganizować. W ten sposób nie tylko zapobiegnie się chaosowi i rozkładowi państwa, przyspieszy jego uzdrowienie, ale i wyrwie się oręż z rąk wstecznicstwa. Nie trzeba, aby społeczeństwo zawdzięczało swoje ocalenie — czy myślało, że je zawdzięcza — polskim faszystom.

Tutaj zmuszeni jesteście zatrzymać się na chwilę na związkowcach (faszystach) włoskich. Niesłusznie uważają ich powszechnie za skrajnych reakcjonistów. Metody ich walki były bezwzględne, ale bezwzględniemi byli i metody walki rewolucjonistów francuskich z roku 1792—93. A jednak oni właśnie ocalili Francję. Faszysta — to organizacja demokratyczna, a bezwzględność i impulsywność tkwi częściowo w charakterze włoskim, częściowo w tradycjach historycznych. Przypominają się walki gwelfów i gibelinów lub walki demokracji z oligarchją szlachecką i mieszczańską w średniowiecznych republikach Florencji, Sjeny, Pizy. Jeżeli faszysta nie uratował Włoch od „wielkiej” rewolucji, to napewno od anarchii, od teroru bolszewickiego i od bolesnego kryzysu, który mógł przetrwać czas dłuższy. Nie groził on utratą niepodległości, jak u nas, ale mógł zachwiać sytuacją ekonomiczną Włoch i wykreślić je na pewien czas, z rzędu wielkich mocarstw. Była to operacja chirurgiczna bardzo na czasie. Faszysta uratowali i socjalistów od ostatecznej kompromitacji, od naśladowania Moskwy. Po załatwieniu się z bolszewizującymi socjalistami faszysta jednego pięknego poranku zwrócili się przeciw paskarzom, spekulantom, robiącej brylantowe interesy burżuazji. Powstał naturalnie popłoch, ale burżuazja, szczególnie nowa, zrozumiała, że przeciągnęła strunę, i że w związkowcach nie ma wcale sprzymierzeńców, którzyby pracowali na jej rachunek. Że faszysta nie są reakcjonistami, dowodzą tego główne punkty ich programu, w którym czytamy między innymi: wskrzeszenie idei o państwie narodowym... ograniczenie władzy i zakresu działania parlamentu, a ustanowienie narodowych rad technicznych, obdarzonych władzą ustawodawczą. W dziedzinie gospodarczej: rozwój drobnej własności, udział robotników w zyskach z przedsiębiorstwa, prawodawstwo socjalne, przystosowane do potrzeb nowszych czasów, użycie kapitałów na rozwój przemysłu, uznanie prawne organizacji robotników i pracodawców. W dziedzinie religji — poszanowanie dla wszystkich wyznań. Jeśli zestawimy ten program z programem parlamentarnej grupy włoskiej demokracji socjalnej, chcącej zorganizować nowe wielkie stronnictwo, to zobaczymy, że rzekoma skrajna prawica i lewica mają niespodziewanie wiele punktów stycznych. Na wstępie demokracji socjalni zaznaczają, że: 1) zasada narodowości i miłości Ojczyzny, będąca podstawą wszelkiego współzycia i rozwoju narodów, w niczem nie sprzeciwia się zdobyczom w dziedzinie społecznej i politycznej; 2) w granicach wytworzonych przez naród praca winna być jedynym źródłem praw, zarówno prywatnych, jak i politycznych; dalej

w programie stoi; 3) uzgodnienie interesów pracowników intelektualnych i robotników; 4) w dziedzinie administracyjnej, gospodarczej i społecznej — decentralizacja. Widzimy, że z dwóch tych programów dałby się skombinować bez trudności jeden: Narodowego Stronnictwa Pracy. Przypominając te fakty, zastrzegamy się, że nie chcemy apoteozować ani terrorystycznych metod faszystów, ani bezwzględności i okrucieństwa, które zresztą wykazały obie strony walczące.

W Polsce dla uprzedzenia i ubezwładnienia reakcji trzeba czynnie zwalczać rewolucję, t. j. chaos. A jeżeli mają się tworzyć związki (fascii) antykomunistyczne, niech te związki organizuje sama demokracja, niech je popiera, niech walczy czynem a nie frazesem. Co należy rozumieć przez opór czynny? Samoobronę społeczeństwa. Przedewszystkiem bojkot towarzyski i społeczny komunistów i ich sympatyków, nietolerowanie ich w związkach, stowarzyszeniach, na urzędach etc. Pozatem — opór czynny wszelkim gwałtom komunistycznym (jak demonstracje antypaństwowe, rozbijanie wieców stronnictw narodowych, robotniczych i socjalistycznych), samorzutne tłumienie rozruchów. Powiedzą nam, że od tego mamy wojsko, policję, że nawet prędko będziemy mieli ustawę wyjątkową, skierowaną przeciw komunistom, więc możemy spać spokojnie; że akcja społeczna jest zbyt częstą i jest niedopuszczalną w państwie „praworządne”. Co do ustawy wyjątkowej, niewiadomo, czy przyniesie ona więcej szkody, czy pożytku. Stroną ujemną tej ustawy jest to, że usypia ona czujność społeczeństwa, zdaje wszystko na rząd i policję. Wszelka akcja rządowa nie cieszy się u nas zaufaniem, nie jest popularna, traktuje się ją nieraz, nie bez słuszności, ze strony humorystycznej. Przypomnijmy sprawę urzędów walki z lichwą i spekulacją, ministerstwa aprowizacji i zdrowia, urząd mieszkaniowy i inne urzędy „przeszkód i utrudnień”. Policja najczęściej przychodzi zapóźno, lub niema należytych instrukcji, lub arestuje nie tych, których należy. Zresztą rząd jest chwiejny, a organa jego działają bez koordynacji. Pan minister sprawiedliwości powiedział w Sejmie, że właściwie ustawa wyjątkowa jest zbyt częsta, gdyż i stare wystarczają, opracował ją jednak na żądanie Sejmu; zresztą Sejm może ustawę złagodzić... Pan minister jest względem Sejmu bardzo lojalny... Jak wobec tego ustawa będzie stosowana? Praktyka wskazuje, że właśnie surowe prawa bardzo rzadko lub nigdy nie bywają stosowane u nas, jak kara śmierci za łapownictwo. Surowa ustawa, przy naszej organizacji władz, albo da powód do nadużyć i będzie tworzyć męczenników, albo zmusi rząd praktykować tolerancję specyficzną i tę „głęboko obmyśloną bezczynność”, o której mówił jeden z byłych ministrów sprawiedliwości. Tyłko zdecydowana postawa i czynna pomoc społeczeństwa mogą dać oparcie rządowi, który będzie daleko rzadziej stosować surową ustawę, gdy samo społeczeństwo uniemożliwi akcję komunistyczną.

Ale pomagając prawicy w zwalczaniu komunizmu, my tem samem pomagamy t. zw. kontrrewolucji, t. j. reakcji, bo wszak za rewolucjonistów mogą być wydawani wszelkiego pokroju socjaliści, radykalni ludowcy i t. d. Pomagamy pa-



skarstwu, podtrzymujemy wolny handel, pogrążamy reformę rolną, reformę skarbową, ustawodawstwo pracy! Wcale nie. Właśnie zwalczając komunizm i akcję antypaństwową, wykazując niedołęstwo i sprzeczności polityki socjalistów naszych, wzmocnimy stanowisko demokracji. Zorganizowane demokratyczne grupy obrony czynnej podniosą swój kredyt moralny wśród społeczeństwa i zaważą na szali wypadków, tak, że wszelkie zakusy reakcji staną się niemożliwe. Grupy zorganizowane dla walki z komunizmem mogą być użyte również dla walki z paskarzami i spekulantami, ze wszelkiego rodzaju kultuństwem i wstecznictwem, mogą się zwrócić i przeciw prawicy, jeżeli ta ostatnia zechce wyzyścić zwycięstwo, i powiedzieć jej: ani kroku dalej!

Streszczamy się: rewolucja komunistyczna, choćby mała, o ile by się udała, przyniesie za sobą utratę niepodległości, podział Polski i w każdym razie niesłychaną reakcję. Rewolucja stłumiona, „putsch” zlikwidowany przez prawicę przyniesie za sobą również reakcję, choć w mniejszym stopniu. Dla uniknięcia zatem reakcji trzeba czynnie zwalczać komunistów i komunizujących wszędzie, na wszystkich polach, nie polegając na akcji rządu. Bo rząd może powiedzieć, że nie zwalcza rewolucji, gdyż nie ma podtrzymania w społeczeństwie. Do chwili obecnej doskonale pasują słowa Hugona Kollataja: „Nic nie jest za późno, jeżeli tylko będziemy zgodni i zgodą ośmielimy nieprzyjaciół... Jeżeli się dziś nie dźwigniemy, będzie to znakiem, że nie chcemy, że Ojczyzna i Wolność są u nas rzeczą obojętną, że zepsucie narodu do tego przyszło stopnia, iż nie wart jest dłuższej na ziemi egzystencji”<sup>1)</sup>.

*Dr. Parago.*

## Prądy polityki angielskiej.

### II.

Trzeci prąd, natury ekonomicznej, który zdaniem rzeczonych osób kompetentnych miałby kierować polityką angielską, płynąłby ze sfer finansowych londyńskiej „City” i miałby być zasilany przez tamtejszych aferzystów „Businessmen”.

Ci aferzyści, jak wszyscy przeważnie aferzyści, nie krepujący się żadnymi względami wyznaniowymi, humanitarnymi lub innymi, mają na celu wyłącznie własny interes. Tym oto wpływom, zdaniem osób kompetentnych, należałoby przypisać równie chętnie popieranie ze strony Anglii antybolszewików, jak Judenicza, Kołczaka i Denikina, i Sowietów: Lenina i Trockiego. Chodziło tu w gruncie rzeczy o nic innego, tylko o uzyskanie od jednych albo od drugich, a może i od obu, odpowiednich koncesji i o utrzymanie tych koncesji.

Te trzy prądy, kierując kolejno polityką angielską, mogłyby, pozostawione same sobie, zepchnąć ją na tory, wiodące Wielką Brytanię do nieuchybnej zguby. Na szczęście Państwa Brytyjskiego, istnieje siła wyższa, górująca ponad te prądy i roztaczająca nad niem opiekę, którą nazwiemy siłą ducha opiekuńczego Anglii. Ta oto siła wyższa, stojąca na straży nietykalności Wiel-

kiej Brytanii i jej potęgi, niezachwianie broni ogólnych interesów tego państwa, w walce o jego przyszłość. Ile razy nawa brytyjska pod wpływem jakichkolwiek prądów zeszlaby na bezdroża, niewidoczna ręka tego ducha odpowiedniemi uderzeniami w ster naprowadza nazad tę nawę na właściwe tory.

Dla zapoznania się z prawdziwą siłą kierowniczą, która rządzi polityką Wielkiej Brytanii, nie należy udawać się do parlamentu angielskiego, ani do Rady gabinetowej angielskiej, gdzie duch władający tą siłą niezawsze bywa obecnym. Ale szukać jej trzeba w Sztabie Jeneralnym Admiralicji angielskiej, gdzie stała siedziba tego ducha.

Następujący fakt, którego byliśmy naoczniemi świadkami, służyć może za przykład, w jaki sposób i z jaką zręcznością duch opiekuńczy Anglii w stosownej chwili występować potrafi, gdy bezpieczeństwo państwa tego wymaga.

W 1909 r. Admiralicja angielska złożyła w parlamencie projekt prawa, dotyczącego marynarki (naval Bill), z żądaniem znacznych kredytów na powiększenie floty. Ten projekt trafił na silną opozycję nie tylko w łonie parlamentu, ale w łonie samego gabinetu. Liberalowie, będący naówczas u steru (Gabinet Asquith’a), chcieli uzyskać, za pomocą oszczędności czynionych na wydatkach obrony narodowej, fundusze potrzebne na pokrycie różnych praw humanitarnych, jak np. pensji robotniczych, etc., które ci liberalowie byli parlamentowi do rozpatrzenia przedłożyli.

Dla tej samej przyczyny, partja liberalna nie chciała zgodzić się na ustanowienie obowiązkowej służby wojskowej, którą po doświadczeniach wojny boerskiej i jakby w przewidywaniu ostatniej wojny europejskiej chciał przeprowadzić w Anglii wielki patriota i światły mąż stanu, lord Roberts, który z największą energią domagał się zastąpienia armji zaciężnej armją z poboru.

Zresztą partja liberalna miała jeszcze inny powód do występowania przeciw powiększeniu floty. Uważała to powiększenie za niepotrzebne, nie wierząc w grozę niemiecką. Liczne mowy różnych do tej partji należących mężów stanu wymownym są tego dowodem. W ówczesnych swych mowach ci mężowie stanu jednogłośnie podnosili wyborne usposobienie Niemiec dla Anglii i o brak patriotyzmu pomawiali tych, którzy tego zdania nie podzielali. To zaślepienie względem Niemiec ludzi będących naówczas u steru w Anglii narażało Państwo Wielko-Brytyjskie na największe niebezpieczeństwo. Wtedy to duch opiekuńczy tego państwa wystąpił czynnie w jego obronie, korzystając ze sposobności, jaką mu nastęrczyła przeprawa Blériota przez kanał „la Manche” drogą napowietrzną.

Fakt, że można było dostać się na terytorjum brytyjskie tą niezwykłą drogą, pozwolił Admiralicji angielskiej na przedsięwzięcie w obronie swego projektu kampanji uwieńczonej pomyslnym skutkiem. Wszystkie dzienniki angielskie przepełniły się nagle artykułami, w których dowodzono, że Anglija przestała być wyspą, że można do niej każdej chwili zajechać bez trudności, spadając z nieba, jak grom. Zwracano uwagę na to, że armja nieprzyjacielska, przybywająca aeroplanem, wylądować może u bram Londynu i wziąć to miasto z nienacka.

<sup>1)</sup> Listy Anonima do Stanisława Małachowskiego.



Z drugiej strony sztuka teatralna, zwana „Englishman's Home”, napisana na obstalunek, przedstawiała najazd Anglii przez wojsko przybyłe z kontynentu, które wylądowawszy na pobrzużu angielskim zle obronionem, maszerowało na Londyn i brało go z łatwością.

Prócz tego, po porozumieniu się z władzami wojskowymi i żeglugi napowietrznej, przedsiębrano inne jeszcze środki agitacyjne.

Aeronefy angielskie, udające Zeppelinów, patrolowały w nocy z odkrytym światłem i pokazywały się wszędzie: w Szkocji, w Irlandji, w Galji i t. d.

Manewra wojskowe, na urząd obstalowane, na które zmobilizowano wszystkie taximetry londyńskie, przewiozły w dany dzień całą załogę stołeczną ku wybrzeżom „La Manche”, dla odparcia jakoby lądującego tam nieprzyjaciela.

Wreszcie zmobilizowano całą flotę kanału i morza północnego i skoncentrowano ją na Tamizie pod samym Londynem. Poczem najpoważniejsze pisma angielskie napadały na Admiralicję za jej nieostrożność i brak rozważli, przez narażanie floty angielskiej, chluby i pierwszej obrony Anglii, na niechybną zgubę ze strony aeronefów niemieckich, które były w stanie za jednym zachodem nie tylko zniszczyć główne siły morskie Anglii, ale zaszponować najgłówniejszy jej port — zatopionymi w nim okrętami.

Wrażenie, jakie ta kampanja, tak zręcznie prowadzona, wywarła na opinii publicznej angielskiej, było nie do opisania. Niebawem wszystkie strzelnice w całym Zjednoczonym Królestwie zapelnily się tłumem mężczyzn, kobiet i dzieci, którzy leżąc na ziemi wprawiali się w strzelanie z karabinów wojskowych w celu odparcia ewentualnego najeźdźcy.

Opinia publiczna tak przygotowana zmusiła swym wpływem parlament angielski do przyjęcia z ogromną większością głosów projektu Admiralicji, dotyczącego powiększenia floty. W przeciwnym razie ten projekt byłby został stanowczo odrzucony.

I tak oto, duch opiekuńczy Anglii wybawił to państwo od niechybnej zguby, na jaką w swym zaślepieniu u steru będący wówczas mężowie stanu niezawodnie je narażali. Bez interwencji tego ducha Anglia byłaby w 1914 r. stała wobec Niemiec w pełnym rynsztunku bojowym, na lądzie i morzu, nie tylko bez wojska, ale nawet bez marynarki wojennej o odpowiedniej sile.

\* \* \*

Jako drugi przykład czujności ducha opiekuńczego Anglii i jego interwencji w razie potrzeby, może służyć fakt, jaki miał miejsce w czasie wojny rosyjsko-tureckiej w 1878 r.—Oto ten fakt:

W 1876 r. zawarty został sekretny układ między Rosją i Austrią w kwestji bałkańskiej. Wrazie rzezi chrześcijan na Bałkanach, Rosja miała wystąpić czynnie przeciw Turcji, Austria zaś miała pozostać neutralną. W nagrodę za tę neutralność Austria miała otrzymać, po zwycięskiej wojnie ze strony Rosji, Bośnię i Hercegowinę. Rosja zobowiązywała się natomiast, w razie pobicia Turcji, nie przekraczać południowej granicy właściwej Bułgarii, która miała być od Turcji oderwana i ustanowiona jako księstwo niepodległe.

Jednakże, po wzięciu Plewny i po przejściu Bałkanów pod Szybką. Rosjanie, upojeni swym zwycięstwem, szli na Konstantynopol. Wobec takiego pogwałcenia umowy przez Rosję hr. Julusz Andrassy, ówczesny prezes gabinetu wiedeńskiego, chcąc zapobiedz wojnie europejskiej, mogącej wyniknąć z konfliktu z Rosją, odniósł się do Londynu z prośbą o poparcie i o energiczną interwencję.

Anglią rządził wówczas znakomity mąż stanu lord Beaconsfield, który dla uniknięcia konfliktu europejskiego, jaka mogła wyniknąć z powodu zatargu między Austrią i Rosją, wysłał natychmiast na swoją odpowiedzialność i wbrew opozycji całego gabinetu eskadrę angielską na morze Marmara.

Ta morska demonstracja wystarczyła, by zatrzymać Rosjan u wrót Konstantynopola i pod grozą okrętowych armat angielskich podpisany został w San Stefano układ pokojowy między Rosją i Turcją, który następnie na żądanie Anglii uległ z niekorzyścią dla Rosji rewizji na zwołanym w tym celu Kongresie Berlińskim, w 1878 r.

I tak oto duch opiekuńczy Wielkiej Brytanji, którego lord Beaconsfield był świadomym narzędziem, wybawił Europę od niechybnej wojny, a Państwo Brytańskie od niebezpieczeństwa obecności Rosjan nad Bosforem.

Ten sam duch skłonił Anglię w 1914 r. do pójsicia z Francją, w tej wojnie przeciw Niemcom, mimo ilnej opozycji wielu brytańskich mężów stanu, przeciwnych wzięciu udziału przez Anglię w tej wojnie.

W obecnej chwili, gdy różne prądy starają się ować politykę angielską, by ją zawieść na manowce, oddalając Anglię od Francji, czyż nie byłaby pora dla tego ducha do wystąpienia z odpowiednią interwencją.

*Jan Tarnowski.*

## Brak organizacji wśród Kresowców.<sup>1)</sup>

Nasza rozbieżność wysiłków w walce przy osiągnięciu jednego celu, przysłowiowa niechęć do zgodnego zaciągnięcia się do jednej, wspólnej organizacji, niepoohamowane upodobanie do tworzenia licznych, drobnych grup o własnych programach taktycznych, często nawzajem się zwalczających, nieustanna skłonność jednostek silniejszych do broniienia swoich interesów w pojedynkę i na własną rękę, słowem, wszystkie objawy rozproszenia sił naszych, czyż nie stanowią jedynej i realnej przyczyny dotychczasowego niepowodzenia wszystkich usiłowań i starań, przedsięwziętych w ciągu trzech lat ostatnich przez uchodźstwo nasze z Kresów Ukraińskich w Polsce.

A chodziło wszakże o sprawy tak ważne i decydujące, jak np. o linię wytyczną polityki polskiej na wschodzie, o to, aby dano możliwość nam, kresowcom, odegrania tej roli właściwej, do

<sup>1)</sup> Streszczenie odczytu, jaki miał miejsce 22 stycznia na zebraniu przedstawicieli Kresów Południowo-Wschodnich, czyli Wołynia, Podola i Kijowszczyzny.



której czujemy się powołani na Kresach, t. j. wytrwania i obrony tych ziem, jako przedmurza, twierdzy polskiej, wysuniętej na wschód i broniącej cywilizacji nie tylko polskiej ale i zachodnio-europejskiej od barbarzyństwa bolszewizmu. Chodziło nam o to, aby w kwestjach taktyki w stosunku do naszych sąsiadów wschodnich, poddał Rząd głębszemu wystudjowaniu i powołał do pracy więcej sił kompetentnych, jakich pomiędzy nami nie brakło.

Chodziło nam wreszcie o to, aby warunki bytu polskiej emigracji z Kresów w Polsce nie były gorsze niż był jakiegokolwiek emigracji rosyjskiej za granicą; by ci, co uciekli bez środków do życia i bez legitymacji, nie byli trzymani w barakach, na tych samych prawach, jak jeńcy bolszewicy, by dzieci nie były pozbawione opieki i możliwości kształcenia się, aby chorzy nie umierali w nieogrzanych lokalach i wagonach towarowych...

Jakże charakterystyczna i pouczająca jest historia trzyletnia działalności społecznej wśród kresowców, w kraju.

Na początku 1919 roku zjechała do Warszawy *„Delegacja Polskiego Komitetu Wykonawczego na Rusi”* w liczbie 26 osób, spodziewając się, że zostanie uznana przez Sejm i przyjęta w charakterze mandatarjuszy od milionowej z górą ludności polskiej z ziem ukraińskich, która chyba miała prawo do tego, by jej pozwolono mieć głos w sprawach ogólnopolskich.

Ponieważ obiecano jej tylko, że pojedynczy członkowie tej delegacji będą powoływani na posiedzenia komisji sejmowych w charakterze rzeczoznawców w sprawach dotyczących kresów, — więc delegacja pozostała dotąd w Warszawie. Dzięki też staraniom tej instytucji został wyjednany dwu i pół milionowy kredyt dla Macierzy Szkolnej na Rusi; brała również ona gorliwy udział w organizowaniu repatriacji dzieci polskich. Bliższego jednak kontaktu z całym uchodźstwem kresowem, swoją drogą, delegacja nie miała.

W najważniejszych momentach historii kresów, jak podczas chwilowej okupacji tych ziem na wiosnę 1920 r., jak podczas zawierania traktatu z rządem ukraińskim Petlury a potem z Sowietami, ani wreszcie teraz, gdy mocarstwa zachodnie układają się z bolszewizmem o restytucję stanu posiadania i wynagrodzenie strat, — ani delegacja, ani sam Komitet Wykonawczy żadnej roli nie odegrały, żadnego wpływu nie miały.

W tym samym czasie zostało założone *„Koło Polaków ziem Ruskich”* (chronologicznie biorąc, nawet wcześniejsza organizacja), wyznaczając sobie te same zadania i cele, które podjęte były przez Komitet Wykonawczy.

Z inicjatywy Koła, wydawano przez pewien czas własny dziennik „kresowy”, wydano parę broszur osobnych, założono *„Sekcję pomocy ofiarom wojny i anarchji”* i *„T-wo opieki nad dziećmi i kształcącej się młodzieżą z Kresów”*. Starano się wyrobić kredyt dla kresowców, przedstawiono szereg memorjałów ministrom, urządzono parę wieców, by uświadomić polską publiczną opinię o sprawach kresowych. Zarząd wykazywał cały czas dużo dobrych chęci i zacnych usiłowań, skutków jednak pomyślnych i konkretnych było stosunkowo mało.

W krótkim czasie grono członków Koła wydzieliło się, tworząc ściślejszy *„Związek Wołyński”*. Przydział części Wołynia do ziem administrowanych przez Polskę wytworzył rzeczywistość dla nich w tej dobie odmienne warunki, które potrzebą oddzielnej, specjalnej organizacji bądź co bądź uzasadniały.

Mniej zato uzasadnionem wydać się może utworzenie wkrótce drugiego odrębnego *„Związku Podolskiego”*, gdyż ani na chwilę warunki polityczne i ekonomiczne Ziemi Podola i Kijowszczyzny nie przestały być jednakowe, identyczne.

Wreszcie uchodźcy ziemi Kijowskiej uznali za słuszne utworzyć swój oddzielny *„Związek Kijowszczyzny”*.

Zatem nie odmienne warunki bytu są przyczyną właściwą tego rozdziału, raczej odmienne przekonania jednostek poszczególnych, posiadających wpływ w obu grupach.

Idea zawarcia traktatu i współdziałania w swoim czasie z Petlurą i jego rządem wśród jednej części kresowców znalazła żywy oddźwięk i uznanie, a przez drugą część — była bezwzględnie potępiona. — Stąd — rozdział.

W jednym ugrupowaniu został wybrany Zarząd, popierający pod tym względem politykę rządu, w drugim, przeciwnie, energicznie wobec niej protestujący.

Podczas tego, powstała w Warszawie jeszcze jedna organizacja kresowa, mająca zresztą te same cele i zadania, co i dwie poprzednie — miałowicie: *„Związek pracującej inteligencji polskiej z Wołynia, Podola i Kijowszczyzny”*, z pochodzenia swego tylko cokolwiek więcej demokratyczna, niż Koło, w którym przeważał żywioł ziemiański. Faktycznie nowa ta instytucja gorliwie wzięła się do pracy, kierując się zupełnie temi samymi przesłankami, co i Koło. A więc krzątano się przy sprawie pośrednictwa pracy, kształceniu młodzieży, kołatano do tych samych ministerstw i w tym samym celu, w jakim się zgłaszało do nich Koło.

I oto, wytworzyła się obecnie dziwna sytuacja. Ludność polska kresowa z Kresów Południowo-Wschodnich reprezentowana jest w Warszawie przez cały szereg samodzielnych, odrębnych i niezależnych organizacji. A więc przez: 1) *„Związek Wołyńców”*, 2) *„Związek Podolaków”*, 3) *„Związek Polaków z ziemi Kijowskiej”*, 4) *„Delegację Komitetu Wykonawczego”*, 5) *„Związek pracującej inteligencji”*, 6) *„T-wo opieki nad dziećmi i kształcącej się młodzieżą z Kresów”*, 7) *„Sekcję pomocy ofiarom wojny i anarchji”*, 8) *„Komitet pomocy uchodźcom z ziemi Wołynia, Podola i Kijowszczyzny”*.

Należy pamiętać, że każda z tych instytucji ma swój odrębny zarząd, i że gdyby praca tych wszystkich zarządów była skoordynowaną i zorganizowaną, a wysiłki ich kierowane wedle jednej myśli, rezultaty mogłyby być bardzo znaczne, ale, jesteśmy w Polsce, wiele zadań musi podjąć wielu ludzi jednocześnie, pojmując te zadania każdy inaczej...

To jest powodem z znacznym stopniem, że miejscowa prasa i społeczeństwo, jak też i rząd, absolutnie się nie orjentują dotychczas w tem, kto właściwie z pośród tak wielu przedstawicieli kresowców ma dane ku temu, żeby w ich imieniu



przemawiać, i czyje zdanie należy brać poważnie pod uwagę.

A momenty w życiu politycznym były w tym czasie decydujące. Zawarto traktat ryski, który przesądził o losie wszystkich rodaków, zamieszkających na kresach, potem przyszła epoka repatriacji masowej, tak tragicznie prowadzonej. Brak organizacji należytej kresowców dał się dotkliwie odczuć.

A gdyby na miejscu nas, w tych samych warunkach, znaleźli się ludzie innego szczepu, Amerykanie, Niemcy, nie mówiąc już o żydach, sytuacja przedstawiałaby się inaczej.

Powstałoby przedewszystkiem ogromne zrzeczenie, którego członkami byłiby bez wyjątku wszyscy. Nie usunęłyby się od solidarnego należenia do niego, nawet jednostki najzamożniejsze, najmniej wspólnej obrony potrzebujące i najmniej w swych interesach zagrożone. Zorganizowany nacisk z dołu, silna opinia zwartego zrzeczenia zmusiłaby każdego do podporządkowania się tym czynnikom, które się raz obrało i uznało za kierownicze. Tylko wybrani i nieliczni otrzymaliby prawo, mandat występowania na zewnątrz, kierowania akcją polityczną i społeczną, ale działalność ich byłaby uzgodniona z myślą i pragnieniem zbiorowem.

Pozatem, powstałby cały szereg sekcji, odpowiadających rozmaitym dziedzinom życia, rozmaitym potrzebom, ale atrybucje ich nie byłyby ze sobą mieszane, akcja ich uzgodniona wzajemnie i skoordynowana.

Taka organizacja posiadałaby należną wagę, stanowiłaby aorytet, byłaby opinią.

Z taką organizacją musiano by się liczyć i opinii jej nie lekceważyć.

Wówczas, kresowcy nie byłiby tępieni tak, jak są obecnie w Bolszewji, mimo traktatów z Polską, — bo byłoby komu o każdego się skutecznie upomnieć.

Nie marniałyby wówczas, nie demoralizowałyby się, nie staczały na dno nędzy niektóre jednostki nasze i rodziny całe nawet, znajdujące się w najcięższych warunkach tu, w Polsce, — bo byłoby komu zaopiekować się nimi należycie.

Na przyszłość zaś polskiej historycznej akcji cywilizacyjnej na Kresach możnaby było spoglądać bez najmniejszego pesymizmu.

Nie ulega wątpliwości, że tak by było, gdyby na naszym miejscu znaleźli się ludzie innej narodowości. Może samo to przeświadczenie skłonić nas zdoła do wysiłku, abyśmy jednak sami potrafili zrzeszyć, zorganizować i o swoje prawa upomnieć się i walczyć, gdy tego zajdzie potrzeba.

*Tadeusz Michalski.*

## FESTINA LENTE.

Spiesz się powoli! To często używane i nadużywane powiedzenie narzuca się mimowoli przy rozważaniu t. z. redukcji w naszych biurach urzędniczych. Przetrzebieżenie szeregów biurokracji okazało się koniecznością ze względu na wprzągnięcie w rydwan służby niesłychanej ilości ludzi i to

z lekkomyślności, prywaty, stronnicych względów i chorobliwej manji tworzenia pstrokaczny „czynów” bez żadnej potrzeby, byle do wspólnego zło-bu dopuścić tę lub ową jednostkę. Państwo napęczniało literalnie zbiorowiskiem rozmaitych nie-użytków i strząsnąć się z nich musiało, aby ratować budżet, ratować samo społeczeństwo przed rozpasaną plagą dyktantyzmu, kastowości, przed zanikiem inicjatywy i czapką z bączkiem, wysysającą żywotne soki. O ile wszakże sama zasada obciąć była najsluszniejszą w świecie, o ile uzdrowienie zboczonych stosunków okazało się najoczywistszą niezbędną, — to należało przystąpić do operacji, jak do każdego dzieła pomyślnego, z niezmiernym poczuciem sprawiedliwości, umiarkowania i zalecenia rany najprędzej, a nie na raty i w sposób zgola drażniący i groźny. Bez dokładnej statystyki, bez dokładnych wskazań jaka cyfra jest konieczną i to przy uwzględnieniu niewyrobienia pracowników, nakreślono pewien szemat finansowy i wszystko, co przekraczało jego ramy, odpada niby wióro ostrym odkruszone heblem. Następnie redukcja powinna być cięciem jednorazowym, cesarskim, nie zaś zamienianą się w system długotrwały, niemal chroniczny, pokryty względami reorganizacji bez końca, wytwarzający ciągłą przejściowość, ciągły stan płynny, próby i doświadczenia wiecznie przedłużające się i skłonne wywołać wrazenie, że z gmachów urzędów wyciąga się belki, deski, cegły, buduje się i przebudowuje tak, — że maszyna cała utyka i nie może okazać sprawności. Ze względów ludzkich natomiast jest to potwornością, bo żaden pracownik nie wie, kiedy ostry miecz Brennusa przeważy szalę na jego niekorzyść, kiedy straci grunt pod nogami, kiedy wreszcie się z coraz większym wpływem czasu znajdzie się z rodziną na bruku i wobec zastojów w różnych dziedzinach daremnie będzie pukać do furt prywatnych z prośbą o zajęcie. Zaś rozsądna i świadoma psychiki racja stanu głośno woła, że urzędnik zawieszony między niebem a ziemią, między skromnym dochodem a głodowymi perspektywami, dręczy się, patrzy ponurym wzrokiem w przyszłość i wśród mroków, obsiadających jego duszę, nie może ani skutecznie wyteżać sił, ani z wiarą i przywiązaniem poświęcać się macoszom obowiązkom. Blade widmo redukcji, spacerujące od miesięcy po izbach biurowych, gasi wszelki zapal, pęta chęci, zmraża lodowatym oddechem nadzieje w ustalenie bytu. Zaledwie zamknęła się jedna redukcja przychodzi druga i trzecia ze znaną grzechotą w rękach na temat przysłowiowej organizacji, snują się komisie, wypytują i w wyniku wszystkiego nowe, szablone wilcze świadectwa. Tego żaden naród strawić nie może, to musi pomnożyć kadry zgorzkniałych, a zgorzknienie jest zawsze pierwiosnkiem bardzo niebezpiecznych następstw. Tu i owdzie opowiadają, że przy przesiewaniu przez rzeszoto dzieją się rzeczy wołające o pomstę do nieba, jak usuwanie zdolnych i kwalifikowanych, pozbywanie się osób z wyższemi studiami a zatrzymywanie nieprzygotowanych. I nie dlatego podkreśla się podobne sprawy, aby podnosić gwałt, uprawiać krytykę dla krytyki i uderzać w strunę jałowych lamentów, gdyż w chaosie wszelkie pomyłki są zrozumiałe, ale celem skłonienia do ostrożności, naprawienia wyrządzonych już krzywd i przestrze-



zenia na przyszłość. Nie do pomyślenia są projekty, aby urzędnik przed stabilizacją miał za sobą pięć lat nienagannej służby, albowiem takie obwarowanie się unicestwi przyciągnięcie żywiołów wartościowych, zagranicę zaś utwierdzi w mniemaniu, że jesteście zbiorowiskiem nieszczególnym, skoro na tak długie męczarnie trzeba wystawiać pracowników. Ponieważ zaś — powiedzmy bez enifazy — urzędnicy w okresie naszego wznoszenia się muszą być pierwszorzędnym czynnikiem i potężną armią wykonawczą, — więc należy ich otoczyć żywopłotem opieki, obywatelskich starań i troski najcieplejszej. Niepodobna dawać im przedsmaku koszar, puszczać na zieloną paszę i po kilkoletnich trudach pozbawiać chleba codziennego. Wprost jednak niesłychaną okropnością są zwalniania z doby na dobę, — a podobne wypadki coraz bardziej powtarzają się wbrew wszelkiej etyce, wbrew interesom powszechności. W ostatnich czasach zdarzyło się, — że w pewnym ministerstwie urzędników z egzaminami usuwano w ten sposób, że dymisja nosiła datę n.p. 31 stycznia a już dotknięty nią od 1-go lutego musiał przerwać zajęcia!

Niema chyba państwa na świecie, któreby mogło pozwolić sobie na tego rodzaju jaskrawe ostracyzmy. Podnosimy fakty nie w chęci wbicia szpilek i szkodenia sprawcom złego, tylko w zamiarze położenia kresu praktykom, które z każdego stanowiska i w każdym oświeceniu, ujawniają rozpętaną bezwzględność pewnych rozstrzygających czynników, domykających oczy na wszelką kontrolę społeczną. Tak być nie może i nie powinno i prasa uczciwa, nie polująca na sensację lub popularność, musi w sposób najbardziej stanowczy zawołać: *festina lente*, spieszcie się panowie powoli i uważajcie, aby nie deptać życia, aby w nieopatrnej manji nie wzmacniać fermentu, a raczej wzbudzić zaufanie, że ludzie sterujący nawą państwową nie igrają losem podwładnych im istnień. Wierzmy też, że przy uczciwym odczuciu podniesionych rekryminacji, przy wgłębieniu się w ich myśl zło stanie się wspomnieniem i z gór hierarchji państwowej spłynie promień, który musi oblać każdy czyn, mający, przynieść zbawienie, promień rozumnej ludzkości, sprawiedliwości jako najważniejszego ognia w łańcuchu wspólnych potrzeb.

*Ernest Łuniński.*

## Jubileusz „Kurjera Polskiego”

Dnia 29 stycznia obchodził „Kurjer Polski” 25-lecie istnienia. Wprawdzie obecny dziennik, wychodzący pod powyższym tytułem, nie jest ściśle w znaczeniu programowym dalszym ciągiem pisma założonego przez dzielną i świetną trójkę w osobach Ludwika Straszewicza, Wincentego Kosiakiewicza i Ludomira Grendyszyńskiego, gdyż zmieniło się tło czasu i dążenia społeczne, jednakże nazwiska wymienione, symbole wysokiej wartości obywatelskiej, przyświecają mu szeroko, jako płacówce o wartości szczerze narodowej. W chwilach najgorszego tłumienia ducha polskiego, w chwilach spętania dionią „obrusiteli” życia i zaparcia tchu w piersiach, szedł „Kurjer Polski” w niebywalej na nasze stosunki licz-

bie w dalekie kąty prowincji, był w nich krzepicielem i nauczycielem, podtrzymywał za pomocą smutnej sztuki pisania między wierszami serca, niósł kaganek oświaty. A gdy roztajały lody zamrażające nasze istnienie zajął stanowisko krytyka umiarkowanego, przeczernego, unikał wszelkiego państwa i linczowania przeciwnika, pomykał wśród wzburzonych i w rdzawy męt spienionych przeciwników partyjnych z szczerym polem, nie raniąc, nie waląc niemilosierdzie oskarżeniem, ale wskazując na powszechne potrzeby. Szczególną zasługą pisma pozostanie, — że w świetnie nieraz ujętych artykułach wstępnych wytykał błędne pojęcia nasze o politycznych metodach europejskich i przez to starał się kres położyć opaczny zapatrywaniu na rzekome uprzedzenia względem nas pewnych państw czy mocarstw. Za wytrwałą służbę w latach potopu, za kulturalno-polityczną misję w okresie świtu i poranku wolności należy się jubilatowi wdzięczność nieklamana, należy się koleżeńskie pozdrowienie i proste, z uczuć płynące życzenie, aby przeszłość pisma była i jego przyszłością. Oby z płaszczyzn tej przyszłości odpadły wszelkie ciernie i badyle, wyrastające tak często na drodze dziennikarskiej.

## OD POLSKIEGO KOMITETU POMOCY OFIAROM GŁODU W ROSJI.

Straszna klęska głodowa, niewidziana jeszcze w dziejach świata, spadła na Rosję, pochłaniając miliony ofiar, a w tej liczbie i tysiące nieszczęsnych naszych rodaków, oczekujących jeszcze na powrót do kraju. Sumienie ludzkości, wstrząśnięte zgrozą przejmującymi wieściami o męczarniach, jakie przeżywa nieszczęśliwa ludność Rosji, pobudziło narody ucywilizowanego świata do zorganizowania międzynarodowej akcji ratowniczej, w której i Polska zapowiedziała swój udział.

Ciężkiem jest położenie nasze, dużo biedy i trosk we własnym domu, ale niech nikt nie powie, że w chwili, gdy inne narody spełniały czyn miłosierdzia, naród polski stał na uboczu.

Więc spieszmy z pomocą.

Pamiętajmy też o tem, że w plonie obfitym, jaki śmierć dziś zbiera na obszarach Rosji, niemalą część stanowią ofiary polskie. Ginie tam tysiącami dziatwa, a ją ratować — to jest nasz pierwszy i najświętszy obowiązek.

Ofiary na rzecz Komitetu przyjmują: Poczta Kasa Oszczędności (Conto czekowe № 3416); Bank Handlowy w Warszawie (conto № 7644); Bank Kredytowy (conto № 1840), Bank Mazowiecki, Skarbnik Komitetu — p. Ludwika Bersanova — Sienkiewicza 4 m. 7, oraz biuro Komisji Finansowej Krakowskie-Przedmieście 9, w lokalu Polskiej Spółki Akcyjnej Handlu Zewnętrznego, oraz Redakcja „Tygodnia Polskiego”.



# LITERATURA I SZTUKA.

## WALKA O KULTURĘ W TEATRZE.

Z zagadnienia stosunku społeczeństwa do teatru, zagadnienia poruszanego wielokrotnie i oświetlanego z najrozmaitszych stanowisk, wyodrębnić należy sprawę wzajemnych związków między t. zw. publicznością i teatrem, związków najzupełniej przypadkowych, i stanowiących raczej materiał dla psychologa tłumu, aniżeli badacza teatru. Teatr i społeczeństwo—to zagadnienie dla polityka, socjologa, a przede wszystkim — dla organizatora kultury. Stosunek społeczeństwa, a więc uświadomionej ideowo i artystycznie opinii narodu, względem teatru, musi być określony na zasadzie zrozumienia wychowawczo-narodowej i ideowej roli teatru. Nie jest w danej chwili moim zadaniem oświetlanie roli teatru jako n. p. syntezy życia narodowego. Należy tu głównie podkreślić, że teatr jest wielkim laboratorium, w którym tworzą się ogólne formy kultury zbiorowej. W przeciwieństwie do literatury, której oddziaływanie jest o wiele węższe, mniej bezpośrednie i uwarunkowane indywidualną postawą poszczególnego czytelnika, teatr jest syntetycznym naswietleniem tych wszystkich problemów, które nurtują daną teraźniejszość. Tworzy on ideologię współczesności, opierając ją na elementach, wydobytych z czarownych źródeł wielkiej twórczości przeszłej, i na motywach, impulsach i problematach, narzuconych przez życie duchowe i realne danej epoki. Tezy i problemy, rozwiązane w ostatecznych definicjach przez teatr, nierzadko stają się obowiązującymi dogmatycznie kanonami danej dziejowej chwili.

Pojmując teatr, jako jedną z dźwigni narodowej kultury, należy z całą energią, niezachowaną siłą przeświadczenia i powagą zwalczać farsową jego koncepcję nie tylko w duszy społeczeństwa, lecz i w działalności pewnego odłamu krytyków.

Godząc się na twierdzenie, że teatr jest jedną z form sugestji zbiorowej, należy utrwalić przekonanie, że, jak wszelka sztuka, jest on za pośrednictwem piękna, piękna teatru, wyrazicielem i tłumaczem prawd niezmiennych, bezpośrednich i prostych, oraz wiekuiście nieśmiertelnych tonów natury ludzkiej. Głębokie dale, jakie otwierają się przed teatrem w Polsce, zmuszają do twierdzenia, że posiada on olbrzymie perspektywy rozwoju i że odkryje narodowi błogosławieństwo słonecznego genjuszu Fredry, że ujawni kiedyś w całym oślepiającym blasku poezję Słowackiego, Norwida, Wyspiańskiego, Micińskiego, — co jest jedynym finalnym celem wysiłków teatralnych w Polsce na długie, długie lata. Teatralny genjusz Wyspiańskiego, którym Polska wyprzedziła o wiele lat całą Europę w ujęciu i rozwiązaniu koncepcji teatru poetyckiego, winien być twórczym impulsem o olbrzymiej sile i wierze, że zdołamy wreszcie kiedyś dźwignąć monumentalną budowę Teatru Narodowego.

W zwalczaniu koncepcji farsowej teatru (teatr jako zabawa, wytchnienie, lekkostrawne mędrko-

wanie na temat tezy) doniosła i w dużej mierze decydującą rolę odegrać może i winna krytyka teatralna. Rozwikływanie problemów ideowych i artystycznych oraz ujęcie formalnej strony samego przedstawienia w płaszczyźnie realizacji scenicznej — oto schemat, który przy nieogarnionym indywidualizowaniu przez poszczególne temperamenty i inteligencję pisarską krytyków, winien być zachowany w omawianiu t. zw. wrażeń teatralnych. Stosunek do autora musi być jaknajbardziej wnikliwy i wczuwający się w jego postawę twórczą. Krytyka w pismach codziennych zwłaszcza, nie może polegać na mędrkującym dociekaniu szpar i szczelin, lecz na ujmowaniu ideowego całokształtu, jaki nasuwają zagadnienia danej sztuki. Tak n. p. w stosunku do Wyspiańskiego, którego publiczność warszawska niemal zupełnie nie zna i z którego poetyckim genjuszem ledwie się styka treściowo w reprezentacjach np. „Nocy Listopadowej“ czy „Bolesława Śmiałego“, pewni krytycy zawinili ironizowaniem na temat (celowych i świadomych) pauz, jakie właśnie łączą poszczególne sceny, np. „Bolesława“. Dzięki lekkomyślnemu stanowisku krytyka podważa się w opinii ogółu wiarę w genjusz dramatyczny poety i spiętrza się nieprzeniknione glazy przeszkód, które i tak oddzielają go od świadomości artystycznej i ideowej szerokiego ogółu.

Gdyby krytyka teatralna polska, a przede wszystkim stołeczna, miała wyczułone poczucie odpowiedzialności, możnaby rozpocząć z teatrami zasadniczą i rozstrzygającą walkę o repertuar i jego poziom. Stawiając interes ogółu i sprawę kształtowania jego duszy zbiorowej ponad indywidualne sprawy przedsiębiorstw teatralnych, które nie mogą i nie chcą wyjść z zakłętego koła kalkulacji finansowej, należy dążyć do zmuszania teatrów, by stworzyły stały wielki repertuar, będący zawsze rozstrzygającym czynnikiem poziomu teatru i miarą jego artystycznego wysiłku i kulturalnych zasług. Oczywiście nie należy zapominać, że bezwzględnie naczelne miejsce w repertuarze każdego poważnego teatru należy się dramatowi, jako temu działowi sztuki, który stanowi o kulturalnej wartości i społeczno-narodowym znaczeniu teatru. Musi to być oczywiście okupione znacznymi ofiarami materialnymi; na to kierownictwo każdego teatru, tembardziej w stolicy, musi być przygotowane. W tym kierunku wymagania ze strony teatralnej krytyki, spełniającej swe zadania w duchu postulatów czystej sztuki i jasno pojętych potrzeb narodowych, muszą być nieustępliwe i winny dążyć drogą zorganizowania opinii zespołu krytyków teatru do wywarcia jednolitego nacisku w prasie na kierownicze czynniki teatralne, by roli dramatu nie pozwoliły zagubić i ostatecznie pogniebić. Zwłaszcza dziś, w okresie olbrzymiego i powszechnego skapitalizowania przedsiębiorstw teatralnych i grożącego sproletaryzowania w nich poziomu artystycznego, — krytyka teatralna winna odegrać rolę czynnika regulującego wzajemny stosunek między granicą interesów materialnych teatralnego przedsiębiorstwa a wymaganiami uświadomionej artystycznie i narodowo opinii.

W odrodzonej Polsce życie teatralne, płynąc — ze względu na wielką ilość nowopowsta-



łych teatrów — szerokim łożyskiem, niesie na swoich falach najbardziej różnolite w swych formach przejawy wrażeń teatralnych. Olbrzymie zapotrzebowanie stwarza szereg konwencji i kompromisów z wymaganiami czystej sztuki, tak literatury, jak i teatru.

Ze względu na szeroką i nieuchwytnie olbrzymią skalę oddziaływania na społeczeństwo, teatr stać się musi jedną z dziedzin, szczególnie nadających się do zabiegów ze strony państwa i wytworzenia przezeń specyficznych podstaw państwowej „polityki teatralnej”. Rozumieć tu należy nietylko organizację wykształcenia artystycznego (szkoły teatralne i stołeczna akademja wraz z teatrem), lecz i ujęcie w ramy organizacyjne ruchu teatralnego przez organy państwowe t. j. przez Ministerjum sztuki i kultury. Ingerencja państwa (już zresztą prowadzona) dążyć winna do najtroskliwszej opieki nad teatrami, do zwiększenia ich dostępności, do najdalej idącej decentralizacji, do siania ognisk teatralnych na prowincji, do zorganizowania olbrzymiej sieci teatralnej na terenach Rzeczypospolitej ze szczególnym uwzględnieniem kresów zachodnich i wschodnich. Objażdowy wzorowy teatr państwowy winien być pierwszym stadjum dociekania kultury teatralnej w najdalsze zakątki kraju.

Jedynie wielki wysiłek i całkowite przeświadczenie o olbrzymiej roli wychowawczej teatru uczynić może z tej akcji państwowej rzeczywistą i nieobliczalną w skutkach: propagandę kultury polskiej.

Walka o poziom polskiego teatru jest też jednym z głównych momentów obecnie rozgrywającej się walki o kulturę polską, jej drogi, zadania i cele.

*Eugenjusz Świerczewski.*

ADA NEGRI.

## WOLONTARJUSZKA.

— Proszę, niech pani pamięta, panno Hildo, że wszystkie „pozycje” muszą być wpisywane jak najskrupulatniej.

— Naturalnie. Oto właśnie ostatnia rubryka, Benedykty Crimi, tej świeżo przybyłej, Może pani przejrzeć?...

Pani Marcela wstała, wysoka, wiotka, pajęcza niby cień, i doszła lekkim, zwiewnym krokiem, nie dotykając stopami ziemi, do biurka, po za którym ginęła drobna, nieco ulomna figurka jej sekretarki. Z uwagą przejrzała wielkie, sztywne karty dziennika, zapisane gęsto, w obramowaniu dwu marginesów, biurakracyjnym, nieubłaganiem regularnym pismem.

Potem zamyśliła się.

— Benedykta Crimi. — Córka bardzo ubogiej rodziny wieśniaczej — Czternaście lat. — Posłana do służby do Medjolanu. Jest już matką dziecka, którym obdarzył ją mąż chlebodawczyni. Skarga o uwięzienie małoletniej cofnięta w zamian za pewną sumę pieniędzy, wypłaconą przez winowajcę rodzicom dziewczynki.

— Chce oczyścić się, nauczyć się rzemiosła, wykupić dziecko z przytulku i zabrać je, jak tylko będzie mogła wyżywić je własną pracą.

— Okaz wrodzonej czystości moralnej i zdumiewającej, u tak pierwotnej istoty, miłości macierzyńskiej — prawda, panno Hildo? — Płacze po nocach, myśląc o małości. Boi się, aby mu nie zrobiono krzywdy. Za kilka lat będzie bardzo uzdolnioną hafciarką. — A ta de Nobili? A Sternieri?... Nie, Sternieri niepokoi mnie. Ale Jaskółka?... Rokuje najlepsze nadzieje, najlepsze...

Lazurowe oczy, niby okna rozwarłe ku bezkresom, promieniały przeczystym blaskiem na ściągłej, uduchowionej twarzy kobiety niestarej jeszcze, ale wyglądającej tak, jak gdyby nigdy nie była młodą. Takie oczy miały w starożytności święte, miały męczennice, które żyły i umierały w rozkoszy i bólu ekstazy wiary. Nie widziały one ludzkości, ale widziały to, czem ludzkość powinna byłaby być. Były pogodne i straszliwe, tysiącletnie i niewinne. Kobieta, na której twarzy gorzały te oczy, była wdową bezdzietną po wielkim bogaczu, który przez długie bardzo lata konał na okrutną chorobę i którego ona niestrudzoną była pielęgniarką. Teraz, po śmierci jego, kierowała z zapalem i zbożnością świętego dzieła, „Domem Wolontariuszek”, założonym kosztem znacznej części jej spuścizny. Podwoje cichej tej przystani, czarującej pięknej linii i tchnącej pełnią niezamąconego pokoju wśród zieleni bujnego ogrodu, otwierały się o każdej porze dnia i nocy, z dobrocią i poszanowaniem, w imię świadomej swoich celów, najtrafniej przewidującej miłości siostrzanej, przed kobietami złego prowadzenia, przed dziewczętami z ulicy, które *chciały* się uratować.

Ale musiały *chcieć*.

I wówczas zostawały, jako siostry, jako córki, ucząc się pracować, zaprawiając się do życia zrównoważonego, pełnego poważnej, a mimo to słodkiej harmonji, czując przy tem, że są wolne.

— A mała Mandelli?... Czy widziała pani kiedy, panno Hildo, subtelniejszą od niej istotę?... I pomyśleć, że wydostała się z pod jakiejś straszliwej prasy, która byłaby napewno roztarła ją na miazgę!...

Ojciec, matka, starszy brat — wszyscy współwinni, wszyscy pchali ją na tę drogę. Błoto, zgnilizna i krew... A ona klaszcze w ręce, jak dziewczynka, na widok rozwijającej stokrotki, i nie ustąpiłaby nikomu rozkoszy zrywania się o świcie, aby podebrać jaja w kurniku!.. Jutro o 10-ej przyjedzie doktor, do Siwonetty. Bardzo mnie niepokoi ta jej gorączka...

Pokojuwa otworzyła oszklone drzwi.

— Proszę pani, przysła jakaś kobieta. Chce się z panią rozmówić, chce zostać przyjętą. Czy mam jej powiedzieć, żeby poczekała w saloniku?

— Tak. Idę już.

Szła zawsze tak, jak gdyby powietrze było ziemią: duch jej szedł, a nie ciało. Szła teraz, lotniejsza jeszcze niż zazwyczaj, wsłuchana w rozbrzmiewające z ogrodu wesołe głosy „wolontariuszek”, zajętych w ciepłych promieniach słońca szyciem, haftem lub robotą na drutach: głośniejsze od innych, górowały nad niemi wybuchy śmiechu Jaskółki, której przydomek ten nadano, jako że była biała, czarna, wydłużona, rozedrgana w nieustannym wesołym locie, na podobieństwo skromnej, uskrzydłonej swojej siostrzyczki.

— Do usług wielmożnej pani.

Ta, która ją w ten sposób powitała, stała w pośrodku saloniku, niezbyt wysoka, kształtna brunetka o smągłości dojrzałych oliwek, w czarnej



skromnej sukni. Pełna, jędrna pierś pysznie zarysowywała się pod materją obcisłego stanika, rozsadzając go nieledwie. Dokoła pięknie modelowanej szyi, kragiej i giętkiej, wili się sznur ciemnokrwawych granatów. Usta zdawały się też krwawić, nie wskutek malowidła, ale bogactwa i żywotności czerwonych ciałek. Ciemne, aksamitne kręgi pod oczami, umieszczone w tem miejscu przez naturę rzutem nieporównanie, tajemniczo umiejętnym, podkreślały niezwykłą długość rzęs.

— Proszę panią o przyjęcie mnie tutaj. Chcę zmienić sposób życia. Chciałabym... rozumie pani... Mam trzydzieści pięć lat. Jestem od trzech miesięcy w ciąży. *Tym razem* chciałabym, aby dziecko przyszło na świat...

Ogromne, pełne lazuru nieba, oczy wpatrzone były głęboko w nieznajomą, ale usta pozostawały bez ruchu.

— Jestem zajęta w jednym z domów przy ulicy Vetra. Domyśla się pani... W naszym rzemiośle narażone jesteśmy bardzo często na zające w ciążę. Robi się więc wszystko, aby nie rodzić. Przeszkadza to w zawodzie. Tym razem wyjątkowo nie mogę mylić się co do ojca. Jest nim człowiek, którego kocham. Mamy przecież prawo kochać, jako mężczyznę, jednego z tych wielu, którzy przechodzą przez nasze ręce. Otóż chcę, żeby dziecko urodziło się, i dla tego właśnie muszę zmienić zajęcie.

W czasie milczenia, które zaległo po tych słowach, słychać było niemal opadanie płatków białych róż z bukietu na środku stołu. Po chwili zaczęła przybyła mówić dalej z niezmaconą pewnością siebie.

— Zrozumie mnie pani. Nie mogę narzekać na moją starą. Nazywamy tak właścicielkę naszego zakładu. Jest to kobieta bardzo dobra, energiczna kobieta, która wie, co się komu należy. Trochę zaprędką, lubi się trochę awanturować, ale trzeba jej przyznać, że nie pozwala, aby jej dziewczęta męczyły się zanadto. Dba przede wszystkim o ich zdrowie, więcej może jeszcze, niż o swoje własne. Kiedy odbyłyśmy już dostateczną liczbę kolejek, sama bierze nas za ramię i mówi: „No, moje dziecko!.. na dzisiaj *dosyć!*... Dosyć się namęczyłaś. Teraz idź na górę, zamknij się w swoim pokoju, zmów różaniec i połóż się spać. Tak... niema co mówić. Z naszą starą niema żartów. Co prawda, to prawda, Trzeba się namęczyć, ale ma się coś za to.

To kobieta z głową, kobieta z sumieniem. — Słodki głos, który zdawał się spływać nie z ust, ale z oczu lazurowych, pełnych nieskończonej słodyczy, odpowiedział wreszcie trzema pytaniami:

— Czy rozważyła pani dobrze całą rzecz?... Czy istotnie ma pani zamiar zostać tutaj?... Zaraz?... Nie znam jeszcze imienia pani i nazwiska.

— Nazywam się Marta Nelli, ale w zakładzie nazywają mnie Carmeną. To bardziej malownicze... nadaje się do mojego typu.... Zostać tutaj, dzisiaj?... Doprawdy, nie mogę. Nic. Jutro jest sobota, dzień targowy, dzień dużej roboty. Mnóstwo drabów, wyrwających się ze wsi do miasta. Istny najazd, wie pani!... Nie mogę rzucić starej właśnie jutro, kiedy najbardziej będę jej potrzebna. To przecież zrozumiałe. W każdym rzemiośle rzetelność przede wszystkim. Jestem kobietą uczciwą. Mam swój honor.

Wyprostowała się, zadowolona z siebie promieniejąca, licząc na końcach palców:

— Sobota, niedziela... We wtorek, tak we wtorek... Przyjdę we wtorek. Dobrze tak będzie? Kontenta pani? Może pani napewno na mnie liczyć. Jak Carmeną daje słowo—to murowane. Zobaczy pani, że ja wszystko potrafię. Szyć w rękę i na maszynie, szczególnie męską bieliznę. To moja specjalność. A już chęci do pracy nie brak mi napewno... Ale jutro?... Jutro, nie. Postąpiłabym doprawdy niewdziecznie, niegodziwie względem naszego zakładu, względem starej. Rzetelność przede wszystkim. Jestem kobietą uczciwą, kobietą z honorem.

Uśmiechnęła się, poprawiając wualką i naciągając rękawiczki na palce, uśmiechnęła się najbardziej pewnym siebie uśmiechem, jaki rozchylił kiedykolwiek bardziej krwawe, ocienione brunatnym męskim, wargi.

Wydawała się szczerze zadowoloną z siebie samej.

Uklon pożegnalny, który rzuciła na odchodnym pani Marceli, był niemal poufaly, uklon przyjaciółki, zdający się mówić: porozumiałymy się!

Pani Marcela wiedziała doskonale, że Carmeną nie wróci więcej.

W godzinę później lazuruwo-oka pani Nleżała wciąż jeszcze utulona w swój fotel w kącie saloniku. Ręce miała założone na piersiach, przymknięte powieki, a głowę opartą na poręcz.

Może spała...

Woskowo biała twarz, pozbawiona promiennej przejrzystości wielkich oczu, twarz o rozluźnionych więzach, o oczodolach i kątach ust, pooranych okrutnymi zmarszczkami bólu, sprawiała wrażenie oblicza osoby zmarłej dla tego, że chciała umrzeć, aby uwolnić się od straszliwego, niemożliwego do zniesienia uczucia, zwątpienia wstydu, zgnębienia. I nie rozwarły się nawet te oczy pełne niepokalanej niewinności i odwiecznej mądrości, kiedy Benedykta Crimi weszła nieśmiało, z robótką w rękę, aby popisać się nią przed panią Marcelą: serwetką z grubego, białego płótna, haftowaną w pąsowe wiśnie, pąsowe jak drgający śmiech, pąsowe (ale Benedykta Crimi nie wiedziała o tem), jak usta Marty Nelli, zwanej Carmeną.

Zatrzymała się na progu, zmieszana, a pocziwy jej, obsypany piegami buziak o zadartym nosku, cała jej niezdarna figurka czternastoletniej dziewczynki, zgwałconej przedczesnem macierzyństwem wyrażały przestרח i zakłopotanie. Po chwili zawróciła i, stojąc pomiędzy przymkniętymi drzwiami a framugą, cichuteńko, z palcem na ustach, szepnęła do oczekującej na nią w korytarzu towarzyszki.

— Cicho. Pani śpi.

Tłom. R. Centnerszwerowa.

## MUZEUM NARODOWE M. WARSZAWY.

Pośpiech, z jakim się odbudowuje w Polsce ruiny fabryk i zgłiszcza kultury jest zadziwiający. I jeśli prawdą jest, że na świeżych pobożowskich jablonie wydają złote owoce, to niewątpliwie do tych czarodziejskich jabłoni zaliczyć należy Muzeum narodowe m. Warszawy.



Stworzył je jeden człowiek, stworzył z niczego, wbrew wszelkiej logice i możliwościom, w czasach, gdy zajmowano się raczej Maniche'em niż Rafaeliem, gdy mury obowiązkowo milczały a gobeliny cięto na czapraki dla koni.

Tym dziwotwórcą jest dyrektor p. Bronisław Gembarzewski.

W tych dniach, uporządkowane i systematycznie ułożone zbiory Muzeum oddał do publicznego użytku, a bogactwa zabrane w szczupłym pomieszczeniu przy ul. Podwale 15, są już nie tylko zaczątkiem, ale poważną kolekcją, niewątpliwie mniej bogatą, niż zbiory krakowskie lub nawet lwowskie, lecz w każdym razie zasługującą na uwagę.

Różnorodność wystawionych przedmiotów, połączenie sztuki czystej ze sztuką zdobniczą, stworzenie kilku odrębnych działów, nastrocza uwagę, że obecne „Muzeum Narodowe” w Warszawie, w miarę przybywania okazów, przemienić się musi z czasem w kilka muzeów, z których każde dla siebie tworzyć będzie całość, podobnie jak to się stało w Anglii, we Francji czy w Niemczech.

W tej chwili nie „czas o tem myśleć, ale raczej zabiegać należy z całą energią, aby „Muzeum Narodowe” w Warszawie stało się czemprędzej nie tylko niezastąpioną szkołą narodu, ale i miejscem reprezentacji narodowej kultury.

Mamy wszystkie po temu warunki, by nie chować pod korcem kulturalnych naszych legitymacji, a przedewszystkiem jak nigdy przedtem, tak właśnie teraz ciąży na nas obowiązek poznania samych siebie.

Nie tylko przeciętny polski inteligent i intelektualista, ale i polski artysta, znał wszystkie tajemnice obcych kultur, zgłębił najkapryśniejsze mrugnięcia ducha francuskiego czy włoskiego, wobec własnych zaś bogactw stawał z uczuciem Kolumba, okrywającego nowe lądy.

Takiemu stosunkowi do własnej sztuki, zawinił brak muzeów, a brak ten odczuwała nie tylko Warszawa, ale cała Polska, nie wyłączając Lwowa i Krakowa, gdzie, walcząc z ciągłym niedostatkiem miejsca, chowano najcenniejsze zbiory po piwnicach, w oczekiwaniu szczęśliwego losu lub większej hojności zaborców.

Lata tymczasem płynęły i miały pokolenia, zahypnotyzowane wiarą, iż czepiać się należy obcych znaków, swoich bowiem niema, lub jeśli są, to wystarczyć zgoła nie mogą.

Muzeum Warszawskie w tem stadium, w jakim się dzisiaj znajduje, nie wyczerpuje całokształtu kultury artystycznej w Polsce, ale daje dość obszerny pogląd na naszą przeszłość.

A więc obrazy:

Zbiory muzealne w Warszawie zaczynają się od spisu artystów działających w Polsce w ciągu XV i XVI stulecia.

Dzieł z tego czasu — ledwie kilka, ale zato ogromna lista nazwisk artystów wyziera jak gorzki wyrzut w stronę naszych pracowni uniwersyteckich, które do niedawna jeszcze zajmowały się badaniem autentyczności Tycjanów (według fotografii) a nie miały czasu zająć się poszukiwaniem dawnej sztuki polskiej, która niewątpliwie istniała i istnieje w najgorszej poniewierce i zapomnieniu.

Bardziej już znany, bo bliższy nam wiek XVII

reprezentowany jest przez portrety królów Zygmunta III, Władysława IV, Jana Kazimierza i rodziny Sobieskich.

Wiek XVIII obrazy Konicza, Canaletiego, Czechowicza obejmuje w Muzeum aż 2 sale, doskonale urządzone i przystrojone meblami swej epoki oraz przedmiotami sztuki.

Biedomajerowskim czasem Simlera, Kokulara, Lessera, Zaleskiego poświęcono osobną salę z wielkim smakiem urządzoną, wedle ówczesnej mody.

Malarstwo nie jest sztuką oderwaną od życia, ale każdy kierunek wpływa ściśle z psychologii swego czasu, słuszną jest więc rzeczą, aby ukazywać dzieła malarские w ich autentycznym otoczeniu a nie jako muzealne abstrakcje.

Znacznie bogaciej przedstawia się polskie zdobnictwo a zatem tkaniny, ceramika, wyroby ze szkła, sznycerstwo, złotnictwo i artystyczne ślusarstwo.

Dział dawnych ubiorów szczęśliwie został zapoczątkowany kilkoma cennymi pokazami, wśród których na szczególniejszą uwagę zasługuje liberja dworu króla Stanisława Poniatowskiego.

Zbiór pasów słuckich i tkanin przedstawia się imponująco.

Prócz okazów sztuki polskiej posiada Muzeum kolekcję cudzoziemskich obrazów pochodzącą ze zbiorów szambelana Lachnickiego i Fiorentiniego.

I dobrze, że taka kolekcja znajduje się w Warszawie, jako świadectwo stosunków naszych z cywilizacją Zachodnią.

Dział starożytności, wzbogacony został królewskim darem Dr Siemianowskiego w postaci zbioru cennych numizmatów starogreckich, rzymskich i bizantyjskich.

Jedną z najpilniejszych prac dyrekcji powinno być opracowanie katalogu, choćby w najskromniejszych rozmiarach, byleby tylko udostępnić zwiedzającym studjum nad sztuką polską.

Napisy na przedmiotach są niewystarczającą metodą informacji...

Nie odrazu jednak Kraków zbudowano.

To, co zbudowano, wkracza w sferę cudów energii i zabiegliwości.

W.

## PRZEGLĄD MUZYCZNY.

(*Symfonia Młynarskiego, Fantazja Szymanowskiego i Fantazja Paderewskiego*).

Młynarski i Paderewski należą do jednego typu twórców, którzy nie korzystają w dostatecznej mierze z kolorystyki orkiestrowej przez połączenie różnorodnych instrumentów, dla stworzenia obrazu muzycznego. Piękno każdego obrazu muzycznego kształtuje się na kontrastach barwnych, jak w malarstwie. Jakie cudne barwy orkiestrowe może dać umiejętne połączenie przeróżnych instrumentów — przykładem może służyć „Litewska rapsodia” Karłowicza, „Anelli” Różyckiego, nowoczesna muzyka francuska, muzyka rosyjskich kompozytorów Strawińskiego i Ladowa. Najlepiej skonstruowana symfonia nie zastąpi nam tego fascynującego uroku barwy orkiestrowej.

Symfonia Młynarskiego ilustruje przeżycia narodu polskiego allegorjami muzycznymi. Psycholo-



giczna interpretacja tej kompozycji każe nam się dopatrywać w pierwszej części (Andante Allegro conspirito) Polski z jej rycerskim narodem i zapasami wojennymi. Temat pierwszej części podjęty jest z wielkim temperamentem, o patetycznym charakterze. Część druga (Adagio)— upadek, przygnębienie narodu. Jest to najpiękniejszy moment tej symfonii, pełen głębokiej, przejmującej uczuciowości. Szczególnie pięknie brzmi melodia na skrzypce. Część trzecia — scherzo — jest świadectwem mistrzowskiej techniki symfonicznej Młynarskiego; to samo da się powiedzieć o Finale (Moderato Allegro molto agitato), zaznaczając jednakże pewną nieśmiałość, niezdecydowanie w ujęciu tematu ludowego, który zamiast w pełnej potęgze i odwadze wypłynąć z całego chaosu orkiestrowego i zabłysnąć jako wyraz siły i zrządzenia jarzma niewoli (co wszak było tendencją Młynarskiego), kryje się w kilku oderwanych taktach, błakając się, jak gdyby zawstydzony swoją odrębnością. A wszak ten motyw ludowy winien był być symbolem odrodzonej Polski. Całość symfonii wywiera wrażenie mocne.

Fantazja Paderewskiego jest to utwór nadający się do typu przeciętnego wirtuozostwa. Nie można temu dziełu odmówić polotu. Jednak nie zawsze motyw polski stanowi o polskości dzieła. Polskość objawia się przede wszystkim w emocyjności. A tej w fantazji Paderewskiego nie odczuwa się i dlatego nie porywa.

Fantazja Szymanowskiego jest dziełem potężnym. Szymanowski jest tłumaczem ducha narodowego. Dzieło to należy do tych kompozycji w których cechy narodowe odnajdują się nie w rytmie albo melodii ludowej, lecz tkwią w głębinie podstaw duchowych. Głębia myśli, pełna fantazji pomysłowość, prawdziwie słowiańska bezpośredniość wyrazu i impulsywność czynią z fantazji Szymanowskiego utwór wysoce oryginalny.

Ewa Serednicka-Oleszkowska.

## LITERATURA I SZTUKA U OBCYCH.

**Reorganizacja muzeów w Watykanie i Lateranie.** Ci, którzy, po ciężkich latach udręki wojennej, mają dziś możliwość udania się do Wiecznego Miasta, by pokrzepić ducha wśród nieprzebranych skarbów sztuki—znajdą w muzeach rzymskich niemałe, pożyteczne zmiany. W prastarych zbiorach papieskich ujawnia się wszędzie energiczna działalność reorganizacyjna.

Między innemi bliska jest już końca przebudowa *Museo Etrusco Gregoriano*, znajdującego się na pierwszym piętrze Watykanu. Usunięto ze starych komnat nowoczesne, szpetne przepierzenia; wspaniały zbiór starych waz greckich, oczyszczony z niefortunnnych późniejszych malowideł, został doprowadzony do porządku. Dalsze plany przewidują rozszerzenie *Museo Gregoriano*, do którego przeniesione być mają zabytki starożytne, znajdujące się obecnie w *Museo Profano* w Bibliotece, dzięki czemu powstałoby obszerne muzeum starożytności klasycznych. Tymczasem długie zachodnie skrzydło Biblioteki, gdzie mieści się *Museo Profano* i *Museo Cristiano* a które dotychczas dostępne było jedynie za spe-

cialnem pozwoleniem, niezawsze łatwem do uzyskania — zostało otwarte dla szerokiego ogółu zwiedzających.

Do *Appartamento Borgia* wchodzi się obecnie bezpośrednio z Biblioteki, co oszczędza zwiedzającym dalekiego okrażania przez galerię rzeźb. Wreszcie postanowiono, że wszystkie zbiory papieskie będą otwarte codziennie. Zmianę tę powitają z zadowoleniem wszyscy, którzy doznawali niemiłego zawodu, przybywszy dla zwiedzenia danego zbioru w dzień niewłaściwy i — zastali drzwi zamknięte.

W *Museo Profano* w Lateranie uskutecznione zostały również pożądane zmiany. Utworzone początkowo, celem pomieszczenia nadmiaru zbiorów, *Museo Chiaramonti*, muzeum Laterańskie przez długi czas zachowało potrosze charakter rupieciarni, tak, że niewiele osób mogło zdawać sobie sprawę z niesłychanego bogactwa nagromadzonego tam materiału. Okazy wystawiane były chaotycznie, bez uwzględniania wymagań artystycznych i archeologicznych; pomijano sprawę daty i pochodzenia; liczne fragmenty, doniosłego znaczenia, leżały zaniedbane na posadzce muzealnej lub w magazynach.

Projekt należytego uporządkowania zbiorów uchwalony został na tak krótko przed wojną, że nie mógł być narazie urzeczywistniony. W r. 1919 jednakże podjęto roboty odpowiednie tak energicznie, że w ciągu niespełna dwóch lat kolekcja antyków w Lateranie stała się jedną z najbardziej interesujących w Rzymie. Tak np. w pokojach XI i XII umieszczony został najwspanialszy na świecie zbiór sarkofagów, ich bogate ornamenty treści mitologicznej rzucają światło na rzymską metodę przedstawiania w formie symbolicznej pokus i prób życia doczesnego oraz sądu, jaki w końcu oczekuje ludzkość. Do pokoju XIII-go przenoszone są stopniowo z watykańskiego *Museo Gregoriano* wszystkie pomniejsze brzozy odnalezione w Ostii; w tejże komnacie stoi też przepiękny posążek brązowy Afrodyty, również w Ostii w r. 1868 odkopany.

Ta wielka i owocna praca w muzeach Watykanu i Lateranii jest dziełem prof. B. Nogary, dyrektora generalnego *Musei Pontifici*, oraz d-ra O. Marucchi, który specjalnie zajął się uporządkowaniem antyków Laterańskich; dokonanie tego dzieła jest tem godniejsze uznania, że przeprowadzone zostało w czasach, kiedy wszelkie roboty — zwłaszcza kulturalne — wymagające większych zasobów finansowych są niesłychanie trudne do urzeczywistnienia.

**Prof. T. L. Vaswani.** „My Motherland“. — „India in Mains. — The spirit and struggle of Islam“. — Wobec wzmagającego się ruchu antyangielskiego w Indjach, trylogja prof. Vaswaniego ma podwójne znaczenie i wartość, albowiem wyjaśnia filozofję polityczną przywódcy ruchu, Mahatmy Ghandiego, szczerzej i wyraźniej niż inne książki nie przez samego przywódcę pisane. Niejeden ze stronników Mahatmy daleki jest od zacofanych tłumów, wierzących ślepo w jego sprzeczne hasło: nie-współdziałania z rządem angielskim, wszelako bez uciekania się do gwałtu.

Profesor Vaswani jednak szerzy jego nauki z zapalem apostoła, a jeżeli mniej jest od Ghandiego pochopny od wyrzeczenia się wszelkich nagród i obyczajów zachodnich, z niemniejszą gwałtownością potępia kulturę zachodnią, albowiem „porusza się ona w atmosferze cywilizacji zewnętrznej i napastniczej“.



Pobudką jej nie był rozwój kulturalny Indyj—oświadcza — lecz opanowanie ich ekonomiczne przez W. Brytanię. Indus rodem jest prof. Vaswani, pan-Azjata i popiera agitację na rzecz kalifatu, jako protest Azji przeciw Europie; przepowiada zaś, że agitacja ta zwycięży, jeśli będzie lojalna względem „ducha Azji”. Pokrzywdzonych muzułmanów wywa, żęty nie obrali drogi odwetu, nienawiści lub walki, lecz szli drogą cierpliwości i poświęcenia. Niemniej, mimo nacisku, jaki kładzie na doktrynę *ahimsy* — osłgnięcie celu przez cierpienie i unikanie gwałtu — jego potępienia rządów brytańskich podnieci niechybnie nienawiść rasową, która jest źródłem gwałtów politycznych.

„La libre Ukraine”. — *Comite du Salut Public de l'Ukraine*. — *Balek Constantinople*. — Przez wieki cały świat był przyzwyczajony do istnienia „królów na wygnaniu” i pretendentów do tronu, z których jedni, z biegiem czasu, urzeczywistnili swoje roszczenia, inni zaś tonęli w zapomnieniu. Wiek obecny przynosi całe „rządy” republik, wygnane z krajów rdzinnych. Tak w danej chwili Gruzja i Ukraina posiadają swoje „rządy” *in partibus*, bolszewicy zaś rządzą faktycznie tymi krajami i wyszukują opuszczonej ludność.

Książka, wydana w Konstantynopolu, zwraca uwagę a ostatnie i najświeższe dzieje narodu ukraińskiego i zapewnia „narody pobratymcze”, że Ukraińcy nie pragną rządów bolszewickich ani żadnych innych rosyjskich.

## Książki nadesłane do redakcji.

Wydawnictwa I. Mortkowicza. Towarzystwo wydawnicze w Warszawie.

*Romain Rolland*. Piotr i Łucja. Idylla tragiczna. Str. XXII + 86.

*Edgar Allan Poe*. Arabeski. Wyboru dokonał, z oryginału angielskiego przełożył i wstępem poprzedził Stanisław Wyrzykowski. Tom I. Str. XXI + 233. Tom II. Str. 273.

*Miriam*. U poetów. Przekłady z poezji francuskiej, belgijskiej i włoskiej XIX wieku. Str. 334.

*Cyprjan Kamil Norwid*. Czarne i białe kwiaty. Zebrał i posłowiem opatrzył Roman Zrębowski. Str. 316. Wydanie nowe, poprawione.

*Dr. B. Limanowski*. Historia Demokracji Polskiej w epoce porozbiorowej. Wydanie drugie. Część pierwsza. Str. 269.

### Różne.

*Jadwiga Marcinowska*. Chrzcziciel. Powieść. Warszawa, 1922. Skład główny w Instytucie Wydawniczym „Biblioteka Polska”. Str. 264.

*Percival Lovell*. Dusza Dalekiego Wschodu. Przekład I. G. Pawlikowskiego. Wydawnictwo Związku Naukowo-literackiego we Lwowie H. Altenberg, Księgarnia Wydawnicza. Str. 128.

*Jan Michalski*, b. prezydent miasta Kalisza. Z czasów mojej prezydentury. Kalisz. 1922. Str. 24.

## BANK MIESZCZAŃSTWA POLSKIEGO

Tow. Akc. w POZNANIU, ul. Pawła 3, telef. 1522.

Oddziały: w GRUDZIĄDZU (Pomorze) przy ul. Mickiewicza 8, telef. 80.

(DALSZE W ORGANIZACJI)

załatwia wszelkie transakcje w zakres bankierstwa wchodzące. Otwiera rachunki bieżące i czekowe na dogodnych warunkach. Przyjmuje wkłady depozytowe płacąc, procent po dług ugody. Pośredniczy w zakupie i sprzedaży papierów wartościowych, tak krajowych, jak i zagranicznych. Udziela pożyczek pod zastaw papierów wartościowych. Dyskontuje weksle. Przyjmuje na przechowanie papiery wartościowe i kosztowności. Załatwia wszelkie przekazy w kraju i na zagranicę.

### TYDZIEŃ POLSKI wychodzi w sobotę.

Prenumerata „Tygodnia Polskiego” wynosi kwartalnie 900 mk., miesięcznie 300 mk. za granicą podwójnie. Cena pojedynczego numeru 80 mk.

Conto czekowe P. K. O. Nr. 1750.

Cena ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy milimetrowy 60 mk. — Strona ogłoszeniowa dzieli się na cztery szpalty.

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: WARSZAWA, ORDYNACKA 5 m. 4.

Redakcja otwarta od 5—7 wiecz.: administracja od 9—2 pp. codziennie — telefon 286-17.

Zastępstwo na Kraków i Małopolskę: „Ruch”, Kraków, ul. Szczepańska 9.

Wydawca: TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „ZJEDNOCZENIE” Redaktor: Leon Kozłowski.

Odbito na maszynie rotacyjnej drukarni „Praca”, Kredytowa 2/4. Telefon 60-70.